№ 31 Warszawa, dnia 21 Lipca (2 Siepnia) roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Znajomość ojczystego języka

winna być gruntowną.

My kazimy blask twej tarczy,
Tępim ostrze twego miecza.
H. K.

Jest to dosyć rozpowszechnione mniemanie, że Polak nie potrzebuje znać polskiéj gramatyki, ażeby pisać poprawnie swoim językiem. Niejeden raz słyszeć mi się zdarzyło: nie uczyłem, lub nie uczyłam się nigdy gramatyki, a przecie błędów nie robię w polskim języku! Tak śmiałe i stanowcze twierdzenie wprowadza w kłopot słuchającego, trudno bowiem być do tyla niegrzecznym w salonie i powiedzieć komuś w oczy: przepraszam, w listach państwa rozmaite i bardzo wyraźne znajduję błędy!... Proszę wierzyć, że to nie urojenie, że wiele znajduje się osób zkądinąd wykształconych, a nie umiejących własnym językiem pisać bezbłędnie. Gdzie leży przyczyna złego?... Oto właśnie w lekceważeniu nauki gramatyki. Przyznaję, że nie są to może zawsze błędy zbyt wielkie i rażące, ale czyż nie warto poznać tak dokładnie prawideł mowy ojczystéj, iżby być pewnym, dlaczego tak a nie inaczéj pisać się winno, dlaczego ten lub ów wyraz źle jest napisany, chociaż wielu, a nawet ogół nie widzi w nim błędu? Przez długie lata uczymy się obcych języków, panie nasze wybornie, lepiéj niż Francuz niejeden, piszą po francuzku, wiemy doskonale, jakie znaczenie ma tu dodanie lub opuszczenie choć jednéj w wyrazie litery, najmniejsza zmiana zakończenia, położenie akcentu nawet: umiemy na pamięć wszelkie reguły i wyjątki gramatyki, krytykujemy złośliwie każde zdanie, każdy list francuzki, a sami własnym językiem piszemy bezkarnie bez żadnéj zasady, jak nam się przywidzi i tak jedynie, jak sądzimy, że należy wymawiać. Powie kto może, że gramatyka nasza nie ma przecie zasad stałych i niewzruszonych, że o różne jéj rozwiązania ciągle są spory między uczonymi: ci spierają się o *jotę*, tamci o *a* pochylone, inni znowu o jaką końcówkę wyrazu... Prawda niestety, ale to nie powód, abyśmy pisali bez żadnych prawideł i tworzyli nowy, dowolny rodzaj ortografii. Sprzeczki uczonych znaną są rzeczą i nikt nas o błąd nie posądzi, gdy się trzymać nie będziemy zasad nieustalonych.

Język nasz od Jakóba Parkosza który w epoce Jagiellońskiéj r. 1440 będąc rektorem akademii, pierwszy napisał łacińskie dziełko o polskiéj gramatyce i dodał do niego alfabet polski, celem zaprowadzenia pewnéj jednostajności w ortografii, język nasz, mówię, od tego czasu różne przechodził zmiany, wyrabiał się i coraz to stalsze przybierał formy. Rozpowszechnienie druku głównie przyczyniło się do tego, najpierw téż sami drukarze, a za ich przykładem i uczeni polscy Złotego wieku uznali potrzebę rządzenia się jednem, ogólnem prawem językowem i chociaż jeszcze czas dłuższy zachowały się w pojedynczych drukarniach i u pojedynczych pisarzy pewne charakterystyczne różnice, stopniowo jednak i niby niepostrzeżenie pod ręką takich mistrzów, jak: Kochanowski, Skarga, Bielski, Górnicki, doszedł język polski wysokiego stopnia doskonałości. Za czasów Konarskiego, gdy mowę ojczystą starano się chlubnie oczyścić z makaronizmów ubiegłego okresu, wzięto się także na seryo i gruntownie do wynalezienia prawideł gramatycznych i uczono ich po szkołach.

Już bowiem w roku 1767 ksiądz Stanisław Kleczewski, z zakonu Reformatów, mąż biegły w dziejach krajowych i do rzeczy ojczystych całą przywiązany duszą, uznawał potrzebę napisania wszystkich obowiązującéj gramatyki i zachęca do tego pracowników na polu piśmiennictwa. W dziele swojem: „O początku, dawności i wydoskonaleniu języka polskiego“ tak mówi: „Nad wszystko zdałoby *mi* się najpotrzebniejsze, przez ludzi doskonałych, o których teraz w Polsce nietrudno, zebranie ustaw i jednostajnego prawidła mowy polskiéj, w któremby począwszy od liter i składu onychże, znajdowała się zupełna nauka, jak dobrze mówić po polsku? Albowiem obfitując Polska w ludzi doskonałych obojéj płci, taż sama książka wzbudziłaby w nich dobre myśli, któremiby wsparli zaczętą pracę, przydając jéj więcéj łatwości i objaśnienia.“ Zachęta i zdrowa myśl ks. Kleczewskiego nie przebrzmiały bez echa. Najwięcéj bez wątpienia zdziałał na tem polu ksiądz Onufry Kopczyński, Pijar, z Poznańskiego, który za napisanie: „Gramatyki języka polskiego i łacińskiego“ ozdobiony został złotym medalem przez Stanisława Augusta, a wdzięczni ziomkowie, uznając jego zasługi, postawili na grobie jego pomnik z napisem: „Za gramatykę języka polskiego.“ Prócz Kopczyńskiego byli i inni, co pracowali nad uprawą ojczystéj mowy: Aloizy Feliński napisał: „Rozprawę o ortografii,“ Józef Mroziński, były żołnierz Napoleoński, z największem zamiłowaniem badał język polski, a ducha jego pojąwszy doskonale, torował gramatykom późniejszym drogę do źródeł i wskazywał nieprzebrane bogactwa językowe. Jego: „Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego“ po dziś dzień bywają cenione; Linde Samuel w tych także czasach wydał swe znane powszechnie i nauki głębokie dowodzące sześcio tomowe dzieło: „Słownik języka polskiego.“ Jednakże pomimo całéj téj pracy i mozolnych usiłowań, przedmiot zaprowadzenia stałych zasad w pisowni polskiéj nie zdawał się jeszcze dostatecznie zbadany i roztrząśnięty, dlatego téż Towarzystwo Przyjaciół nauk Warszawskie postanowiło już w r. 1814 sprawę tę w swoje pochwycić ręce; rzecz wprawdzie odwlokła się jeszcze, ale w kilkanaście lat późniéj wyznaczono istotnie Komisyą do ustano-

wienia prawideł ortografii polskiéj; do Komisyi należeli pomiędzy innymi: Kazimierz Brodziński, Mroziński, Osiński Ludwik i Feliks Bentkowski, autor pierwszej, rzec można, *Historyi literatury polskiéj*. Wzmiankowana Komisya wydała dzieło pod tytułem: „Rozprawy i wnioski o ortografii polskiéj przez deputacyą od Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk wyznaczoną.“ Od tego téż czasu dopiero ustaliła się rzeczywiście pisownia polska, forma jéj z małą bardzo zmianą do dziś dnia używana jest ogólnie, a najnowsi gramatykarze na tem właśnie dziele opierają po części swoje twierdzenia. Pomijając rozliczne gramatyki podręczne i dla szkół, jakie w naszych już czasach pojawiły się mnogo, każdy przyzna, że największemi powagami w tym względzie są dzieła zmarłego r. 1858 profesora uniwersytetu Krakowskiego, Józefa Muczkowskiego, niegdyś ucznia Bandtkiego, i żyjącego profesora uniwersytetu Lwowskiego, Antoniego Małeckiego, autora znakomitego krytycznego dzieła o Słowackim; wszelkie inne gramatyki układane były mniéj więcéj podług ich wzorów. Jednakże i tutaj ze smutkiem znów wyznać należy, że obaj ci uczeni profesorowie w wielu dowodzeniach i zasadach, słowem, w pisowni swojéj, bardzo się różnią; pierwszy np. każe pisać: *blizki, męzki, szyji, nadzieji, pięknemi kwiatami*, drugi: *bliski, męski niski szyi, nadziei, pięknymi kwiatami.* *) Zwrócić uwagę uczących się na te sprzeczne twierdzenia i wskazać ich rozmaitość należy naturalnie do nauczyciela, gdyż przez to nabędą uczniowie niejakiego sądu, nabiorą pewności i poznają, jak należy zapatrywać się na te odrębne ortografie; jedna i druga ma przecie nieuzojoną podstawę, skoro sami uczeni i wypróbowani gramatycy za jedną lub drugą obstają. W przypadku podobnym chodzi też jedynie o to, aby się stale trzymać téj z zasad, którą obierzemy, aby pisać już jednakowo wyrazy do téj saméj należące kategoryi. Nie miejsce tutaj wymieniać i objaśniać reguły gramatyczne, pragnę tylko zwrócić uwagę na te, które przyznane są przez wszystkich naszych lingwistów, które w każdéj, najmniéj obszernéj znajdziemy gramatyce, a których nieposzanowanie lub przepomnienie jest przecie błędem stanowczym i niezaprzeczonym. Przyznaję, że osoby, o których wykształcenie starano się w dzieciństwie, choć nauka gramatyki była w tem wykształceniu zaniedbana, nie będą się pewnie nigdy myliły do tego stopnia iżby pisać *u* i *ż* tam, gdzie stawiać wypada *o* i *rz*, albo też odwrotnie, że w miejsce *e* nie postawią *en* i t. p., że dwóch wyrazów nie napiszą razem, ani nie rozdzielą jednego, bo tego nabywa się przez częste pisanie i wprawę, ale czy to już wszystko; czy to już cała mądrość i wielkość nasza językowa? Bez znajomości gramatyki jednak niepodobna uniknąć błędów innego rodzaju, gdzie ona nie jest wskazówką, tam mylimy się z pewnością w każdym, trudność niejaką przedstawiającym wyrazie. Przypuszczam i zgadzam się nawet, że wykształceni, chociaż nie uczyli się nigdy gruntownie polskiéj gramatyki, co niestety, przy dzisiejszym w publicznych szkołach systemie, łatwo przytrafić się może, przypuszczam, że ci jednak są w stanie sami dojść prawdy i na właściwéj stanąć drodze, ucząc się bowiem obcych, a mianowicie starożytnych języków, poznają różne pierwiastki i prawa tworzenia się oddzielnych narzeczy, a tem samem pierwsze zawiązki gramatyki w ogólności i łatwiéj téż wymagania ojczystego języka odgadnąć zdołają. Wszyscy, a szczególnie kobiety, tego nie dokażą, ztąd téż, jeżeli ktokolwiek nieznający gramatyki, nie robi w skutek wprawy i praktyki błędów ortograficznych, gramatycznych, powtarzam, uniknąć nie może. Nie mówię już o interpunkcyi, wśród któréj większa część błąka się jak po manowcu, ale jakże to często, ogólnie niemal, piszą, a nawet drukują: cierpi*emy*, zobacz*emy*, wzią*ść*, moj*ą* sukni*ą*, róż*ą*, *niemogę, niemamy*, w tw*ojem domu*, nasz*ym miastem*, zamiast: *cierpimy, zobaczymy, wziąć, moję suknię, różę, nie mogę, nie mamy*, w *twoim domu, naszem miastem* i t. p.

I błędy takie nietylko powszechnie uchodzą, ale jeszcze ci, co nad prawidłami mowy swéj własnéj nie zastanawiali się nigdy ufni w swe wykształcenie, gdy rzecz wydaje się im dziwną i nową, upatrują błędy tam, gdzie nie ma ich w rzeczywistości podług surowych wymagań każdéj gramatyki! Smutne to i bardzo smutne są dzieje, zwłaszcza, że zaślepienie i uprzedzenie najwięcéj broi tu złego. Dziś, w czasach, gdy na publicznem posiedzeniu, w obec zgromadzonych posłów całéj Rzeszy Niemieckiéj zawyrokowano bezczelnie, że język polski nie jest wcale piśmienniczym, że nie ma żadnéj literatury i żyje tylko w potocznéj mowie ludu, w czasach takich okażmy przecie, że on nie umarł, że kwitnie w całéj pełni, że ma podstawy tak silne iż nie zachwieje się na nich. Nie lekceważmy zatem nauki gramatyki ojczystéj, nudna ona może i nużąca dla wielu, ale konieczna i *jedyna*, która zapoznać nas może z właściwościami mowy rodzinnéj.

Pozbądźmy się uprzedzenia, że to nauka zbyteczna i wierzcie mi, wy szczególnie, młode Czytelniczki, że kto nie pozna *gruntownie* gramatyki jakiegobądź języka, chociażby tak na pozór łatwego, jak polski dla Polaków, ten bezwarunkowo pisać nie będzie poprawnie i chyba tylko zdaje mu się, że tak pisze; żadna jego próba surowszéj nie wytrzymałaby krytyki. Miejmy nadzieję, że przyjdzie chwila, gdy z poważnych i znajomość rzeczy posiadających mężów, zbierze się komisya, która roztrzygnie ostatecznie wszelkie niepewności i zawyrokuje, że jedno tylko istnieje prawo w polskiéj pisowni; tymczasem szanujmy jak świętość to, jakie nam dotąd przekazano i przestrzegajmy tego przynajmniéj, co żadnéj nie ulega wątpliwości. Z jednego, dobrze albo błędnie skreślonego listu, wnosić można na pewno o gruntownem, lub powierzchownem wykształceniu piszącego i jeżeli Francuz zwykł mówić: *„qui sait lire, sait beaucoup,“* to ja powiem z większą jeszcze słusznością: Kto pisać umie, ten umie wiele. *Teja.*

*) W gramatyce Małeckiego znajduje się nadto kilka dosyć oryginalnych, choć uzasadnianych twierdzeń, i tak pisze on: *móc, polec, strzyc, męszczyzna*, zamiast: *módz, polledz strzydz, mężczyzna*. Pisownia ta, o ile mi wiadomo, nie została przyjęta przez nikogo z uczonych, prócz niego samego. Czytaj: „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła.“ Lwów 1866.

W nocy letniéj.

(wyjątek).

Po nad siołem, w mglistej szacie,
Siadła noc w swym majestacie,
Jako królowa na tronie,
We gwiazdzistej swéj koronie,
Nachyliła blade czoło,
Tchnęła sném, zamilkła sioło.

A nad tronem téj królowéj,
Błysnął księżyc brylantowy,
I na ziemskie tu obszary,
W swych promieniach zsyła dary...
W takiéj nocy marzyciele,
Widzą wiele, słyszą wiele.

Widać, widać jak na dłoni,
Kiedy oko w dal pogoni,
Niemen płynie, stoi sioło,
A za siołem na około
Łąki, niwy, pola, góry,
W dali émi się bór ponury,

Słychać, słychać zbyt donośnie,
Jako ptactwo śpiewa głośnie,
Jak od brzega, aż do brzega,
Staw muzyką się rozlega,
Jak brzmi trąbka na noclegu,
I jak Niemen szumi w biegu.

W tem Jantazia swawolnica,
Ustrojona w blask księżyca,
Otulona cieniem nocy,
Pełna czarów wielkiéj mocy,
Z kraju dumań cicho spływa,
I zaczyna tworzyć dziwa.

Znowu widać jakieś ruchy:
To w tumanie tańczą duchy,
W pośród lasu coś się złoci,
To zakwita kwiat paproci;
A Rusałki, Świtezianki,
Wiążą bukiet, wiją wianki.

Znowu słychać jakieś gwary,
To gawędzą z sobą mary,
Wiatr rozmawia z nocną ciszą,
Kwiaty głośno wonią dyszą,
Wszystko gwarzy, a noc słucha,
Wimię Ojca, Syna, Ducha!

W taką dziwnie noc czarowną,
Smętną, niemą a wymówną,
Taż Fantazia szału dziecię,
Goni daléj po tym świecie,
Goni, leci w lot sokoli,
A wciąż broi i swawoli.

Staje w oczach u malarza
I na widmo się przetwarza,
Tak urocze, zaświatowe,
Że artysta traci głowę,
Prosi, błaga ją okrutną,
Aby chciała przejść na płótno.

Potem bierze kształt harmonii,
I pieśniarzom w ucho dzwoni
Takie słodkie Caratiny,
Jakie pieją Cherubiny.
Gdzieś w niebiosach grajek biedny
Błaga choćby nuty jednéj.

Odleciała—i poecie
Zjawia się w paproci kwiecie,
A gdy on go zerwać umie,
Mowę duchów wraz zrozumie,
I opowie w swéj gawędzie
To co było i co będzie.

Autor pamiątek z Litwy.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XXVII.

Wieczorem herbata u staruszki wypadła bardzo szczęśliwie. Wszyscy byli zupełnie zadowoleni.

Mówiono o strasznym epizodzie z dziejów krajowych, mówiono o rodzicach Flaminii bez żadnéj dla tejże obawy. Flaminia była dzisiaj silna i znosiła bez spazmów to straszne wspomnienie. W miejsce straconych uczuć rodzicielskich miała już dzisiaj drugie serce, które wyłącznie dla niéj biło i dla niéj bić miało aż do końca życia. Tem szczęściem była silna i ze smutnym tylko uśmiechem słuchała strasznych słów, które się do owéj pamiętnéj katastrofy odnosiły.

Staruszka także była w wybornym humorze. Wiedziała o oświadczeniu się Maryana, a nawet mówiła o tem jako o fakcie, który ją nad grobem uszczęśliwia. Cieszyła się że biedna sierota będzie szczęśliwa i podobne szczęście obiecywała Maryanowi, którego często w głowę całowała.

Pan Salezy i pani Apolonia byli prawie u szczytu szczęścia swego. Widzieli jak dobrze układają się ich marzenia i nadzieje i przechodzą w rozkoszną rzeczywistość.

Nawet Eliza była łaskawszą dzisiaj dla hrabiego i obiecywała mu ostatecznie nie odwłaczać swego postanowienia. Szczęśliwe zakończenie różnych niepewności i innych zagadek w sprawie Maryana, wzbudziło w jéj sercu gorętsze pragnienia zakończenia także swojéj sprawy. Była prawie optymistką w zapatrywaniu się na przyszłość swoją i nie taiła się z tem przed hrabią.

Najszczęśliwszymi ludźmi na świecie byli dzisiaj Maryan i Flaminia. Mieli wiele rzeczy sobie do opowiedzenia, a słowa ich tak dziwne jakoś sprawiały na nich wrażenia, że oboje koleją rumienili się przed sobą. z czem im jednak bardzo dobrze i słodko było. Uważali siebie jak za narzeczonych, chociaż formalnie nie zmienili jeszcze pierścionków. Zapomnieli nawet o téj formalności.

Tak przeszedł szybko wszystkim wieczorek i niepostrzeżono nawet, że jest już późna godzina i że pan Salezy i staruszka już dawno powinni byli udać się na spoczynek. Pierwsza Eliza zrobiła to spostrzeżenie. Pożegnali się więc wszyscy a byli niektórzy, co dwa a nawet trzy razy z sobą się żegnali.

Tak szczęśliwie dla wszystkich przeminął dzień urodzin Flaminii.

Nazajutrz zaledwie dzień nastał, nadeszła od Flaminii karteczka do Elizy. Flaminia donosiła, że staruszka mocno zapadła w nocy i że z tego powodu na jéj życzenie telegrafowała do kraju.

Wiadomość tak nagła o słabości staruszki była niespodzianą chmurką na niebie dzisiejszego szczęścia wszystkich. Wszyscy okazali jéj wielkie współczucie. Pani Apolonia i Eliza pospieszyły natychmiast do niéj, za niemi udali się pan Salezy i Maryan.

Staruszka była zupełnie przytomna tylko siły opuściły ją ze wszystkiem. Nie miała prawie władzy ani w rękach ani w nogach. Zdawało się że tak powoli zaśnie na zawsze.

Pani Apolonia cały dzień przesiedziała u niéj. Większą część dnia był także przy niéj pan Salezy otaczając ją jak największą swoją troskliwością. Kilka razy z daleka wspomniał o potrzebie pewnych światowych rozporządzeń ostatnich, ale staruszka nie zrozumiała go dobrze, bo na to nic nieodpowiedziała. Mówiła tylko zawsze o Flaminii i Maryanie. Dziękowała Bogu że tak dobrze rzeczy się złożyły, że Flaminia na wypadek jéj śmierci, będzie już miała opiekę, na jaką zasłużyła sobie biedna sierota. Mówiła daléj że o nim nie zapomni i że w godzinie śmierci modlić się będzie za szczęście obojga.

Korzystając z tego usposobienia staruszki napomknęła Eliza, że dla zostających przy życiu wielką jest pociechą jeżeli życzliwa dla nich osoba schodząc z tego świata, zostawi im na piśmie... błogosławieństwo swoje...

Cień smutku przebiegł po twarzy staruszki.

— Zostawcie to już panu Bogu, rzekła, On wie najlepiéj, kiedy ma człowieka do siebie powołać, samemu nie trzeba do jego drzwi pukać.

Pan Salezy dał znak córce, aby na staruszkę nie nalegała, bo widocznie myśl śmierci była dla niéj niemiłą.

Nie mówiono więc już o śmierci, przeciwnie starano się rozproszyć smutne myśli staruszki. Wszyscy byli przekonani, że gdy staruszka ów głos boży posłyszy, zrobi sama to co będzie potrzeba. Takiego mniemania był pan Salezy, a do utwierdzenia w tem mniemaniu przyczyniło się całe zachowanie się staruszki i wiele drobnych szczegółów, które starannie pozbierano. Wszystko potwierdzało takie zapatrywanie i wszyscy uspokoili się.

Zachwycony pierwszym brzaskiem szczęścia swego Maryan nie zwracał na to uwagi. Rzeczy takie leżały w téj chwili u niego w dalszym planie. Zasmucała go tylko choroba staruszki, bo serce jego biło teraz razem z sercem Flaminii. W téj chwili był tylko wrażliwy na to, co czysto ludzkie.

Śród tych złotych na przyszłość nadziei, przy których odzywała się smutna struna obecności trzeciego dnia zaraz z południa nadszedł telegram z Wiednia.

Był téj treści:

„Dowiaduję się, że w Tuliwodach wszystko zgorzało, gorzelnia, stajnie, szopy i szpichlerz. Zapewnie trzeba ci nagle pieniędzy. Posyłam ci jednego z moich klientów, z którym może zrobisz jaki interes. Serdeczne współczucie zasyła... Julian *** agent nadworny."

Maryan osłupiał gdy to przeczytał: Był to dla niego grom nielada, był to cios, który mu ostateczną ruiną zagrażał...

Przypomniał sobie, że dla oszczędności wszystkiego nie assekurował, mimo że mu pan Krzysztof to doradzał. Wyrzucał sobie że tak niebacznie postąpił, ale już było za późno. Nie słuchał rozsądnéj rady przyjaciela, teraz za to okropną odnosi karę...

Lecz cóż to jest, że pan Krzysztof o takiéj katastrofie nic nie donosi? Jakimże sposobem ta straszna wiadomość prędzéj z Wiednia nadchodzi, niżeli wprost z domu?... Może to wszystko nieprawda?...

Telegram ten narobił w całéj rodzinie wiele zmartwienia. Eliza zapłakała, bo takie nieszczęście mogło boleśnie wpłynąć na jéj przyszłość najbliższą...

Postanowiono na razie nikomu o tem nie mówić. Nie chciano aby ta katastrofa wyszła teraz na jaw, gdy tak ponętna przyszłość dla nich nadciąga...

Ale dlaczego pan Krzysztof nie daje znać o téj katastrofie?...

Maryan poszedł do bióra telegraficznego i kazał telegrafować do pana Krzysztofa. Czekał na odpowiedź.

Odpowiedzi nie było żadnéj. Nadszedł wieczór i noc przeszła telegramu nie było!

Nazajutrz zrobiło się lepiéj staruszcze. Zapragnęła pojechać jeszcze na Lido i tam może po raz ostatni popatrzyć na otwarte morze.

Prosiła aby wszyscy jéj towarzyszyli. Pan Salezy i Eliza uznali, że nie można jéj było tego odmówić mimo wyczekiwania odpowiedzi z domu.

Maryan zostawił rozporządzenie, aby mu telegram lub list natychmiast gondolą na Lido przysłano, a potem zabrali się wszyscy, aby staruszce towarzyszyć. Do towarzystwa dołączył się także i hrabia.

Podróż odbyła się szczęśliwie. Powietrze morskie posłużyło staruszce. Wyniesiono ją w krześle na brzeg wyspy, która już zaczęła się zielenić...

Widok wegetacyi, jakiéj w mieście prawie się nie widzi, sprawił na wszystkich orzeźwiające wrażenie. Gdyby nie ten fatalny telegram, gdyby nie myśl, że staruszka może niedługo świat ten pożegna, wszyscy byliby dzisiaj tak szczęśliwi...

Maryan był wprawdzie szczęśliwy gdy patrzał na Flaminię lub z nią rozmawiał, ale widmo telegramu, wychylało się często na pogodne niebo jego szczęścia i zasłaniało mu w części promienie słońca... W podobnem usposobieniu byli i inni oprócz hrabiego, który o telegramie nic nie wiedział a na zbliżającą się śmierć staruszki obojętnie patrzał. Był on dzisiaj nawet weselszy niżeli zwykle. Eliza była dla niego łaskawsza, częściéj spoglądała na niego z pewnem zadowoleniem, co mu obiecywało już bardzo blizkie szczęście...

Za to spojrzenie, za to szczęście poczuwał się hrabia do pewnego obowiązku bawienia jak najlepiéj Elizy a przy niéj całego towarzystwa. Wynajdywał różne wesołe koncepta, żartował z wszystkiego co mu tylko pod rękę przyszło. Brał na fundusz małego chłopczynę, który ojałmużnę prosił, dowcipkował z jakiejś staruszki, która tłustego pieska za sobą prowadziła, a nawet miał wielką ochotę Maryanowi coś przyczepić, gdyby tylko nie był bratem Elizy.

Wreszcie humor hrabiego zaczął się już wyczerpywać nie mając w koło siebie żadnych nowych przedmiotów, gdy nagle nadeszła mu niespodziewana zdobycz.

Od strony miasta pojawiła się gondola, która zwróciła uwagę hrabiego. Gondola była zwykła, gondolier w tyle był zwykłym gondolierem, ale na przodzie stał drugi mężczyzna, jak widać amator, z wiosłem w ręku, i próbował sztuki gondolierskiéj. Szerokie jego barki nachylały się prawie do brzegów gondoli, ale ruchy wiosła były jakoś tak nienormalne, że gondola zamiast iść naprzód, kręciła się w kółko, z czego widocznie powstawała kłótnia pomiędzy prawowitym gondolierem a niezdarnym amatorem.

— *Regardez*, zawołał szczęśliwy hrabia że może się z czegoś uśmiać, co to za pyszna figura do karykatury. Daję słowo honoru że to syn Albionu. Chce być poprostu w obec całéj Wenecyi śmiesznym, bo inaczéj niktby na niego nie patrzał. Patrzcie państwo co on robi.

— To prawda, odpowiedziała Eliza, zabawny czy raczéj śmieszny człowiek. Po co mu brać wiosło do ręki jeżeli taki niezgrabny. Ot tam z okrętu majtkowie śmieją się chórem z niego. Gondolier kłóci się z nim.

— Chce go wyraźnie z gondoli do morza wyrzucić...

— Zaczekajcie, oni się jeszcze pobiją.

— Spadł mu kapelusz.

— Ale co za kapelusz. Gdzie on nabył tak monstrualny kapelusz. Mógłby nim w hucie ogień nadmuchiwać.

— Pewnie Anglik który chce grać rolę dziwaka.

— Anglik nie byłby już takim głupim, to Duńczyk.

— Cha, cha, cha. Duńczyk. To prawda, Duńczyk który z śledziami przyjechał...

Gdy tak hrabia z Elizą o niefortunnym amatorze żeglugi rozmawiali, a inni w milczeniu lecz z uśmiechem na twarzy rozpaczliwym jego wysileniom się przypatrywali, groziła kręcącéj się gondoli prawdziwa katastrofa. Między gondolierem a amatorem przyszło do wyraźnego wybuchu. Gondolier dobi-

tnie protestował przeciw współpracownictwu amatora a zapalony amator, nietylko wiosła z ręki nie wypuścił, ale robiąc niem z całych sił, odgrażał się od czasu do czasu gondolierowi jeszcze dobitniéj, używając do tego giestów bardzo zrozumiałych.

Wreszcie dobiła gondola do brzegu. Amator wyskoczył z gondoli zostawiwszy na dłoni gondoliera jakiś pieniądz. Był to zapewnie znaczny pieniądz bo gondolier nietylko nie dopominał się o swoje krzywdy doznane na wodzie, ale zdjął kapelusz i nizko ukłonił się amatorowi, który za to rzucił mu jakieś nie zbyt podchlebne słowo.

Gdy amator stały grunt pod nogami uczuł, zdjął kapelusz, a ocierając pot z czoła obejrzał się na wszystkie strony.

Wtem nagle krzyknął Maryan:

— Krzysztof! pan Krzysztof!

Był to rzeczywiście zacny pan Krzysztof. Usłyszawszy swe imię stanął chwilę jak wryty a potem pędem puścił się w stronę, gdzie stało całe towarzystwo.

— Ach co za szczęście! zawołał i rzucił się naprzód jak przystało, na panią Apolonię, co za szczęście, że tak zaraz przy brzegu znajduje państwa.

I zaczął licznemi i głośnemi pocałunkami okrywać ciemną popielatą rękawiczkę pani Apolonii.

Hrabia włoski, nierozumiejąc takiéj dla kobiet grzeczności, gdyż tego w całéj klasycznéj Italii nie ma, zacisnął zęby aby z tak śmiesznego człowieka w głos się nie rozśmiać. Patrzał tylko z ukosa na Elizę, która dawała mu uśmiechem i spojrzeniem do poznania, że także wstrzymuje się od niegrzecznego wybuchu wesołości z tego człowieka.

Zacny pan Krzysztof wcale tego nie przeczuwał. Twarz jego zarumieniła się niekłamanem uczuciem szczęścia i była podobna do zachodzącego w całym majestacie słońca. W ręku trzymał olbrzymi kapelusz z szerokiemi kresami, bo jadąc „pod włoskie niebo" spodziewał się tam upałów i jasnego słońca. Niewinny ten anachronizm wyglądał w saméj rzeczy dosyć oryginalnie. Z czoła lał mu się jeszcze pot strumieniem, jako naturalny skutek zbyt wielkiego natężenia sił na gondoli. Zresztą wyglądał bardzo przyzwoicie. Miał na sobie nowe ubranie, jak widać z pracowni nieostatniego mistrza. Nawet była w tem ubraniu pewna pretensyonalność, bo wszystko było nowe, świeże i błyszczące.

Gdy popielate rękawiczki pani Apolonii dostatecznie już wycałował, przeszedł koleją na pana Salezego, którego najprzód w łokieć, potem w ramię a w końcu w policzek pocałował. Zapytał o zdrowie, pochwalił wyglądanie i znowu wspomniał o szczęściu, które go spotkało dzisiaj...

Po tem ceremonialnem przywitaniu przystąpił do Elizy. Twarz jego poczciwa przybrała teraz ciemny rumieniec, oczy strzeliły jasną błyskawicą. Wyciągnął dłoń szeroką, która mimo olbrzymiéj spoczywającéj w niéj sile widocznie zadrżała... podniósł na téj dłoni drobną rączkę Elizy i z uszanowaniem jakby brał komunią świętą, do ust przybliżył.

Cichy i skromny był ten pocałunek. Zaledwie dotknął się ustami a zaraz potem zgiął się aż do ziemi, oddając ukłon hołdu kobiecie, dla któréj w téj chwili głośno biło jego serce.

Z wesołym uśmiechem przyjęła Eliza to powitanie i na hrabiego rzuciła ukośne wejrzenie dając mu do poznania, że się wstrzymuje od śmiechu przez grzeczność.

Teraz z całą swobodą rzucił się pan Krzysztof na Maryana. Miał teraz dobrą sposobność wylania swobodnie całego swego afektu, który serce jego rozpierał a dotąd tylko w konwencyonalnych mógł się objawić formach.

Najprzód zarzucił mu obie ręce na szyję, z czego korzystając spoczął sobie olbrzymi kapelusz trochę na ziemi, poczem nastąpiły całowania i wykrzykniki, które mogły wprawdzie oznaczać stopień uczucia, ale w żadne zrozumiałe zdania związać się nie mogły.

Gdy i to powitanie się skończyło, podjął pan Krzysztof z ziemi olbrzymi kapelusz a chłodząc się nim jak wachlarzem zawołał:

— Zaledwie przyjechałem, pędzę do hotelu a tam państwa nie ma. Gdzie? Powiadają: na Lido. I szukajże tego Lido. A tu serce bije jak młotem z niecierpliwości, aby się z państwem jak najprędzéj powitać. Skaczę do czółna i powiadam: Lido! Ależ licho wie gdzie to Lido. Może trzeba morzem cały dzień jechać. A któż się z Włochem rozmówi. Lido, Lido i Lido! wołam a Włoch rusza głową i jakby się bawił wiosełkiem kiwa się w tył i naprzód. Pomyślałem sobie: z taką jazdą i na jutro nie zdążę. Chwyciłem więc za drugie wiosło i daléj po morzu... Ale szelma Włoch dał mi się we znaki. Gniewał się, fukał jak gadzina. Dobrze, żem go nie zrozumiał, bo byłbym go może utopił... Uf... dziś gorąco...

Po twarzy hrabiego i Elizy biegał śmiech ukryty i gwałtem chciał głośno wybuchnąć. Pan Krzysztof nie zważał na to, nie widział nawet, że prócz tych, z którymi się przywitał, był kto więcéj przy nim. Chciał właśnie jeszcze coś o niefortunnych nieporozumieniach swoich z gondolierem powiedzieć, gdy Maryan uznał za stosowne przyjaciela swego innym jeszcze spektatorom przedstawić. Z staruszką i Flaminią znajomość była łatwa bo zagadnęły do niego po polsku, ale z hrabią trudniéj szła sprawa. Z początku zaczął pan Krzysztof po polsku... potem spróbował trochę niemieczczyzny, a gdy i ta prędko się urwała a więcéj językowych zasobów w jego głowie nie było, zakończył pewnem niewyraźnem mruczeniem, o którem miał to przekonanie, że naśladuje dosyć dobrze język francuzki.

Załatwiwszy tę najtrudniejszą dla siebie sprawę, chciał znowu coś o gondolierze niezgodnym mówić, gdy Maryan wziął go za rękę i w tył z nim się cofnął.

— Czy otrzymałeś mój telegram? zapytał skwapliwie.

— Żadnego nie otrzymałem, odparł pan Krzysztof spokojnie.

— Bo mnie telegrafowano z Wiednia... o nieszczęściu...

— Któż ci telegrafował?

— Znajomy mój... ajent nadworny.

— Aha! Zapewne proponował ci pożyczkę lub jaki inny interes lichwiarski.

— Tak... ale czy to prawda?

— Prawda. Wszystko zgorzało... ale nie bój się żadnéj prawie nie będziesz miał straty.

— Żadnéj straty? A to jakim sposobem?

— Prostym sposobem, wszystko było zaasekurowane.

— Zaasekurowane?... Przecież ja nie assekurowałem.

— Ba, ale był ktoś, który assekurował.

I zacny pan Krzysztof zaśmiał się jak człowiek, któremu udało się drugiego w niemiłe zadziwienie wprowadzić. Maryan bowiem bardzo się zadziwił.

— Któż mógł assekurować? zapytał, przecież wierzyciele moi nie mieliby ani prawa ani tak dobréj woli.

Jeszcze głośniéj zaśmiał się pan Krzysztof.

— Otóż znalazł się jeden taki wierzyciel, zawołał ściskając Maryana za rękę, taki dziwaczny wierzyciel, który bez twojéj woli i wiedzy wszystko porządnie ubezpieczył.

— Czyż to być może... czy ty kochany Krzysztofie...

— Tak jest, z powagą odparł pan Krzysztof, ja byłem tym lichwiarzem, który na każdy wypadek chciał się ubezpieczyć...

Maryan spojrzał na zacnego przyjaciela.

— Czemuż nic mi o tem nie powiedziałeś? zawołał.

Rozśmiał się zacny pan Krzysztof aż rozmawiający z Elizą hrabia się wzdrygnął.

— Bo to był mój figiel, odrzekł, moja zabawka z nudów. Gdy gospodarstwo i gorzelnię po twoim odjeździe objąłem, wiele rzeczy tam mi się nie podobało. Widziałem jakieś kwaśne twarze i nie dobrze patrzące oczy. Jeszcze ten i ów z dworskich sług to i owo bąkał. Wiedziałem, żeś odpędził kilka pijawek od dworu, że chciałeś bez żadnego pośrednictwa rządzić, żeś lasu i placów ziemnych naprzód za kopaninę nie chciał dawać... zgoła żeś nowy system wprowadził a stary sobie naraził... widząc to wszystko uznałem potrzebę zabezpieczenia wszystkiego. Tobie o tem nie mówiłem, bo to nie była twoja ale moja sprawa. Ja objąłem na czas twojéj niebytności gospodarstwo, ja więc dla mego własnego spokoju zapłaciłem ubezpieczenie, powiedziawszy sobie, że jeżeli nic się nie stanie, to nic tobie nie powiem. Wiem że przy dzisiejszych wypadkach nie masz pieniędzy na taki zbytek, jakim są dzisiaj te wszystkie ubezpieczenia, ja zaś dla mojéj satysfakcyi i abym mógł spokojnie w nocy chrapać, mogłem dzięki Bogu to zrobić... Tymczasem stało się inaczéj... sekret mój nie mógł się uchować, ale przynajmniéj za to nie gniewaj się na mnie.

Pan Krzysztof objął znowu za szyję Maryana i serdecznie go ucałował.

Maryan z rozczuleniem patrzał na niego. Zacny przyjaciel rósł teraz w jego oczach i wyrósł na prawdziwego bohatera. Tyle przyjaźni tyle serca mu okazał, i nie dał mu odrazu wpaść w przepaść, coby się stać musiało, gdyby wszystko nie było ubezpieczone...

Łzy stanęły w oczach Maryana. Uścisnął szeroką dłoń zacnego pana Krzysztofa i chciał mu właśnie wynurzyć wdzięczność swoją, dla któréj jak najgorętszych słów szukał w téj chwili, gdy pan Krzysztof nagle się ozwał:

— Proszę cię... kto jest właściwie ten Włoch, który z panią Elizą tak poufale rozmawia?

Nie mógł w téj chwili pan Krzysztof boleśniéj dotknąć Maryana. Maryan zrozumiał to zapytanie. Ugryzł się z bólu w usta.

— To... znajomy nasz, odpowiedział to znajomy Elizy.

Przeczuł coś niedobrego pan Krzysztof bo nagle zmienił wyraz twarzy. Podszedł do towarzystwa a chcąc mimo świadków obcych choć w kilku słowach dać innym wiadomość o nie bardzo złych skutkach pożaru, ozwał się głośno do Maryana:

— Wszystko dobrze się zrobiło, żadnéj z tego nieszczęścia nie będzie szkody.

Usłyszał to pan Salezy i znaczącym wzrokiem spojrzał na żonę, któréj uwagi także nie uszła ta dobra nowina. Nawet Eliza, mimo rozmowy z hrabią, usłyszała te pocieszające słowa pana Krzysztofa i łaskawszém spojrzała na niego okiem.

Ponieważ teraz wiatr zimny zawiał nagle od morza, co staruszce mogło zaszkodzić, zgodzono się na to, aby do domu wrócić. Staruszka nie sprzeciwiała się temu. Prosiła tylko, aby pozwolono jéj choć chwilę jeszcze spojrzyć na morze...

W spojrzeniu staruszki było coś niedobrego. Nie był to wzrok człowieka żyjącego, ale był to już wy-

raz konającego i powoli matującego się oka. Patrzała czas niejaki, patrzała na fale, które od wschodu nadciągały i o brzeg wyspy się rozbijały i zdawało się, że pyta okiem: zkąd biegną te fale i dokąd dążą? Zkąd się bierze życie człowieka i dokąd znowu ucieka? Co się dzieje z summą trosk i rozkoszy które wypełniają to życie? Czy człowiek ten rachunek bierze z sobą czy za sobą zostawi? Co się z nim stanie, gdy ten rachunek nie będzie w zgodzie z sobą? Czy będzie odpowiedzialny za pomyłkę przypadkową lub naganną *deficit?* A co się stanie za sprzeniewierzenie się jego w powierzonym mu rachunku?...

Takie myśli nachodziły biedną staruszkę gdy od morza oczy odwracała, aby do gondoli się dostać. Flaminia prowadziła ją i w głębokiem milczeniu zdawała się odgadywać te poważne myśli swojéj opiekunki dzisiejszéj, która ją prawdopodobnie wkrótce opuści... Szczęściem dla niéj, że w téj chwili spotkała się z pogodnem, dzięki panu Krzysztofowi, wejrzeniem Maryana, pod opiekę którego wkrótce przejść miała.

(d. c. n.)

POGADANKA.

Gdyby instalacya na kronikarza „*Tygodnika*“ przypadła była w zimowéj dobie, byłbym przestępywał te progi z równą wprawdzie trwogą w sercu, ale przynajmniéj z teką pełną nowości i nowinek. Dziś atoli w porze powszechnéj martwoty i wypoczynku, gdy każdy i każda, jeźli tylko czuje pragnienie... wód zagranicznych, śpieszą szukać wytchnienia wśród cienistych alei Karlsbadu, lub innych kąpielowych parków, gdzież... znajdę moje pokłosie, gdzie uzbieram kwiatków do złożenia bukiecika wiadomości, z jakim pragnę Wam się przedstawić?

Wiedząc jednak, że lubicie śmiałość, a uśmiechacie się nielitościwie z niezgrabności lub zakłopotania, zaczynam szereg pogadanek wspomnieniem dwóch kobiet, o których w bieżącym miesiącu najwięcéj mówiono i pisano.

Jak los nieraz kapryśnie rzuca ludzkiem sercem, najlepszym a smutnym dowodem jest żywot byłéj cesarzowéj francuzkiéj.

Z hrabiowskiego domu Montijów piękne przymioty duszy i ciała zaprowadziły młodą Eugenię na tron Francyi, narodu, który od wieków trzyma pierwszeństwo w złem i dobrem zarówno. Tron ten roztwarł przed nią skarby, chwałę i zaszczyty, o jakich tylko zamarzyć może fantazya poetów; zdawało się, że nie ma szczęśliwszéj nad nią istoty. Wielu, wielu zazdrościło jéj świetnego losu, nikomu zaś nie przyszła na myśl stara powiastka o Krezusie i Solonie.

Smutnéj pamięci rok 1870 pozbawił cesarzowę Eugenię tego wszystkiego. Świetność jéj cała rozpierzchła się jak mgła pod wpływem wschodzącego słońca, przy szumnych okrzykach: „*Vive la republique!..*.“ Był to cios nader bolesny dla dumnego trochę serca cesarzowéj, a jednak miał być jeszcze nieostatnim i nie największym.

Sroga ręka dziejowéj Nemezys dotknąwszy cesarzowę nie miała litości nad matką. Obecnie jedyne, ukochane jéj dziecię, piękny, dorodny, bystrego umysłu książę Napoleon, ten najbliższy świadek zgasłéj, a jedyna nadzieja lepszéj przyszłości, poległ w walce wśród obcych, za obcą sprawę i na obcéj ziemi!...

Każde serce kobiety odczuje boleść biednéj Eugenii Montijo...

Drugą kobietą, jest zmarła nagle, niespodzianie z początkiem bieżącego miesiąca, hrabina Franciszka Waldegrave.

Zawikłania polityczne były żywiołem jéj ziemskiéj pielgrzymki. Nie będąc wysokiego pochodzenia, zdołała przykuć do siebie serce i rękę potomka historycznéj sławy rodziny, a nie mając szczególnych, wyróżniających zdolności, umiała zespolić wszystkie najgłośniejsze znakomitości szerokiego świata w ślicznéj willi swojéj, Stravberry Hill, w pobliżu Londynu nad Tamizą położonéj.

Jeśli kiedy kobiety na kartach historycznych wypadków świata niepośledni zajęły miejsca, bez zaprzeczenia lady Waldegrave przyczyniła się nieraz do nowych zwrotów i pchnęła naprzód niejednokrotnie zagadkową bryłę politycznych zawikłań.

Na wspomnienie salonów lady Waldegrave wielu schylało głowy z obawą i ciekawością zarazem, bo też w uroczéj willi Stravberry Hill rozwiązywano niejedne polityczne kwestye i znów napowrót wyrzucano w świat kłębki nowych zagadek, według potrzeby mniéj lub więcéj zmotane.

Lady pochowała z kolei trzech swoich mężów, czwarty baron Carlingford ją obecnie pochował. Żyła lat 58.

Zapytacie: co torowało drogę córce śpiewaka opery do tak wielkich zaszczytów?... Czy może od nimf lub rusałek pożyczyła sztuki czarowania i skupiania w swych salonach serc i głów ludzkich, między któremi były nawet takie, jak księcia Walii lub Aumale?...

Sekret zabrała do grobu; to jednakże pewna, że dzieła swoje przeprowadzała zdrowym, trzeźwym, wolnym od wszelkich marzeń rozumem, jak i nadzwyczajną erudycyą obok szczerości i prostoty w obejściu.

Lady Waldegrave była w saméj rzeczy niezwykłą kobietą...

. . . .

Z smutnego wspomnienia o zmarłéj królowéj salonów, szalony skok uczynię przebiegając do posępnéj muzyki Wagnera. Istne saltomortale!...

W życiu jednak ludzkiem płacz i śmiech tak często z sobą graniczą, a znów „*Lohengrin*“ na scenie naszéj był prawdziwie niezwykłą uroczystością.

Po kilku latach obiecanek i tylko obiecanek, mogliśmy nareszcie dowoli nasycić słuch nasz potężnym akordem germańskiéj twórczości, a nawet nietylko słuch, lecz także i oczy, wystawa bowiem téj opery była ze wszech miar wspaniałą. Cudowny Wagner olśnił nas... ale i znużył niezmiernie. Od wielu lat żyliśmy się niejako z lekkim duchem włoskich mistrzów muzycznego dramatu, przywykliśmy do ich powiewnych, pieszczących ucho symfonii, to też nie dziw, że genialny, ale trochę za rubaszny Niemiec, wraz z całym swoim zasobem waltorni, bębnów i puzonów, wydał się za bardzo ciężkim, za bardzo nużącym. W każdym jednak razie warto pośpieszyć do Wielkiego Teatru, by usłyszeć nietyle całego Lohengrina, lecz szczególniéj żałosne jęki Elzy wplecione w dźwięki muzyki, chór weselny i wiele innych bez zaprzeczenia hojną ręką w tej operze porozrzucanych śliczności.

Idźcie i podziwiajcie...

Przebiegając przez sale wystawy sztuk pięknych, olśnione oczy zatrzymać się muszą przed nowym zachwycającym obrazem Henryka Siemiradzkiego. Każdemu mimowoli przychodzi na myśl ta szalona twórczość, z jaką teraz popisuje się przed światem znakomity artysta, wydobywając z swojéj paletry obraz po obrazie.

Kompozycya o któréj mowa nosi miano: „Za przykładem bogów.“

Dwie pary kochanków: kamienna i żywa, oto treść tego obrazu stanowi.

Przed posągiem Psychy w miłosnych objęciach Amora, zatrzymało się wraz z kochankiem śliczne dziewczę, córka Italskiéj ziemi, sypiąc różnobarwne kwiaty na ofiarę erotycznym bóstwom. Piękny młodzieniec zazdroszcząc umizgom szczęśliwego bożka, zdaje się, jakby przed chwilą wymówił do dziewczęcia: „Luba! za przykładem bogów“ i zaraz ręką jak żelazną obręczą opasze kibić dziewczęcia, składając na jéj ustach płomienny pocałunek. Na tym pocałunku chwyta widz młodą parę i musi im nietylko wybaczyć, lecz jeszcze uśmiechnąć się do nich, bo wszakże oni bawią się „za przykładem bogów...“

Ile tu poezyi, ciepła, uczucia, ile wrażeń przebiega przez duszę widza, to nie da się opowiedzieć, to trzeba widzieć i odczuć widząc. Jaki tu przytem pejzaż wspaniały, jak śliczne to jezioro każące się domyślać słońca i pogody, jak wierne i żywe każdy listek, każda roślina!

Słowem, obraz powyższy, jeden więcéj i to niemały liść dorzuca do wieńca sławy znakomitego artysty.

. . . .

Ostatniemi czasy prawie co kilka dni czytać można w dziennikach coraz nowe wieści, czasem nawet z najdalszych zakątków kraju, o objawach czci i pamięci na zbliżający się obchód jubileuszu J. I. Kraszewskiego. Niedawno polscy studenci uniwersytetu petersburgskiego nadesłali na ręce redakcyi „Echa zebraną z okoliczności jubileuszu sumkę, teraz znów słychać, że lekarze warszawscy zamierzają także uczcić pamięć czcigodnego jubilata, motywując ten krok wzmianką: „za wierne odtworzenie w dziełach jego kilku typów lekarzy-obywateli.“

A jednak Kraszewski prześlicznie malował i maluje ciągle w dziełach swych typy kobiet-obywatelek.

To też panie fabrykantki sztucznych kwiatów w naszem mieście, niejako w imieniu całego ogółu występując, postanowiły obdarzyć go wspaniałym wieńcem którego każda część w innej pracowni odrobioną zostanie. Myśl do tak pięknego uczczenia Szanownego Jubilata powzięły panie: Ewa Łapińska i Antonina Szymkiewiczowa, co z prawdziwą przyjemnością w kronice naszéj zapisujemy.

Z przeciwnem jednak zupełnie uczuciem podnosim kwestyą krytyki teatralnéj, a raczéj osobistych niechęci, stronniczych nienawiści kryjących się pod maską bezwzględnéj prawdy. Pan Bałucki napisał komedyą p. t. Krewniaki: konkurs przyznał mu pierwszeństwo, p. Doroszyński przedstawił ją w Eldorado, publiczność oklaskała, sprawozdawcy teatralni pochwalili i tylko jeden z nich pan Wacław Pomian zganił i wyłajał odmawiając wszelkiéj wartości. Sąd to najniesprawiedliwszy, tylko niechęć osobista albo zazdrość mogły go wydać, bo niepodobna przypuścić aby urzędowy krytyk jednéj z naszych gazet, nie miał nawet pojęcia o wartości utworu dramatycznego. Wiadomo że „Echo“ w osobie pana Sarneckiego, trzyma się starego sztandaru tradycyi z wypisanem godłem zbyt może zawziętego konserwatyzmu. „Nowiny“ przeciwnie kroczą naprzód śmiało z bezwzględnością znów może cokolwiek za zbyt zapalczywą. Ztąd nieporozumienia i częste docinki. Pan Sarnecki napisał dramat p.t. Kalecy przedstawiony w Alhambrze, jakże więc tu oprzéć się chętce przypięcia łatki przeciwnikowi. Znalazł się też zaraz krytyk w osobie pana B. w Nowinach, który pana Sarneckiego wyszydził jak jakiego niedołęgę literackiego. I to sąd niesprawiedliwy. Dramat nie jest arcydziełem ale jako praca orygi-

nalna zawsze jest nowością godną poparcia choćby już nie z powodu trudności ale możności wdarcia się na scenę teatru stałego utworom miejscowych pisarzy. Pan B. nie uwzględnił tego: wszystkie inne pisma miały to na pamięci, i wytykając wady wykazały i zalety jakich się w dramacie p. Sarneckiego niemało znajduje.

W Nowinach jednak nie są wcale nowiną takie siekaniny krytyczne pisarzy do ich obozu nie należących. Przedtem uległa temu samemu losowi Historya literatury polskiéj w zarysach dla młodzieży przez K. Wł. Wójcickiego napisana. Krytyk nie chciał pamiętać że to tylko *zarysy* dla młodzieży, które zmuszone w ciasnych ramach się rozwijać nie mogą przedmiotu ani wyczerpać ani traktować zbyt ściśle. Podniósł też drobnostki a rzeczy istotnie ważne pominął, czyż to krytyka i to pod sztandarem postępu wypowiedziana?

Takie szarpaniny z pewnością nie popchną go naprzód. Nienawiścią nic się nie buduje tylko burzy. Młodzi nasi pisarze zapomnieli o tem, jakaż ztąd szkoda dla społecznego dobra!

Korespondencya zagraniczna.

Wojna z Zulusami. Śmierć ks. Ludwika Napoleona. Zamiar zmienienia niektórych przestarzałych praw. Rozprawy nad prawem o domach obłąkanych. Meeting przy Trafalgar square. Szkoła Christ-Church. Sprawa Peace'go. Dzieje naszéj epoki, od czasu wstąpienia na tron królowéj Wiktoryi aż do traktatu berlińskiego, przez Justyna M'Carthy. Notatki przyrodnika na pokładzie Challengera, H .N. Moseley. Dzisiejszy Transvaal, pana Aylvard. Podróż do Arabii. Egiptu i Indyj, p. mistres Burton. Daisy Miller i An International Episode, Henryka James Junior. *Vixen* ostatni romans mistres Braddon. Polowanie na kangury i króliki w Australii.

Wszystkie tutejsze gazety i pisma zamieściły długie artykuły dla uczczenia pamięci tak przedwcześnie zmarłego młodego księcia Ludwika Bonaparte. Kiedy przed kilku miesiącami, młody książę odpływał ze swymi towarzyszami z Woolwich, pełen sił, życia i niepospolitych zdolności, a odprowadzające go tłumy ludu angielskiego wyprawiły mu nader świetną owacyą, nie przewidywano że tenże sam okręt przywiezie niezadługo martwe jego zwłoki. Trudno wyobrazić sobie oburzenie jakiem tchnie cała ludność angielska na niedbalstwo i lekceważenie głównodowodzącego armią afrykańską, że mógł dozwolić księciu udać się na rekonesans z tak małym i niedobranym pocztem, i nigdy jeszcze nie przyjęto z takiem uznaniem wyroku potępiającego, jak wydanego na porucznika Carey'a, którego ucieczka stała się głównym powodem śmierci nieszczęśliwego księcia.

O ile z początku ta wojna z Zulusami była niepopularną, o tyle obecnie cały naród angielski z niepokojem śledzi jéj rozwój, zrozumiano bowiem że chodzi tu nie o sam tylko honor ale i o interes narodowy. Jest to dziś naglącą potrzebą dla Anglii, aby otworzyć nowe drogi i targowiska dla swego handlu i przemysłu. Targi Ameryki coraz więcéj zamykają się przed nią, a kto wie czy i na Indye długo jeszcze liczyć będzie można, niezbędna więc zachodzi potrzeba wytworzyć sobie ujścia do Afryki, gdzie tyle jeszcze istnieje ludów niewtajemniczonych w dobrodziejstwa tegoczesnéj cywilizacyi, a tem samem i wynikających z niéj potrzeb i zapewnić sobie przystęp do tych obszernych lądów, które Anglia osacza coraz szczelniéj siecią kantorów i portów handlowych. Porażka pod Isandula jest wybornym pozorem do rozszerzenia, jeżli nie zdobyczy, to przynajmniéj protektoratu angielskiego. Mieszanie się Anglików w sprawy afrykańskie, kryje w sobie nader ważny fakt ekonomiczny, i dlatego to daleko widzący politycy nie cofnęli się przed wojną z wojowniczym królem Cetywayo, pomimo iż szczególniéj w początkach wyprawy, napotkali nader silną opozycyą w zwolennikach pokoju za jaką bądź cenę.

Kraj Zulusów dopiero od 1823 r. znany jest Anglikom. Zulusi o tyle stoją wyżéj od innych murzyńskich ludów Afryki, jak Maorysi Nowéj Zelandyi od krajowców Australii. Rząd ich podobny jest do istniejącego niegdyś u Hebrajczyków. Dziecię zależy od głowy rodziny, która podlega miejscowemu zwierzchnikowi, ten znowu wyższemu od siebie i tak stopniowo aż do najwyższego władzcy, którym jest Cetywayo. Mają oni bardzo mało stosunków z białymi i dlatego może nie podlegają ich wadom i przywarom. Nie są ani pijacy, ani kłótliwi, ani kłamcy, zmysłowi lub okrutni; odznaczają się tylko wielkiem skąpstwem, nie znają praw gościnności i żadnéj nie udzielają pomocy podróżnym.

Misyonarze angielscy przybyli do Londynu na coroczne posiedzenia, utrzymują, że w obecnych okolicznościach wojsko Cetywaya jest daleko trudniejszem do pokonania niż armia któregokolwiek państwa cywilizowanego. Liczy ona 40,000 ludzi i jak owe pięć susów żyda wiecznego tułacza, jest niewyczerpaną; na miejsce ubyłych z szeregu jakby czarami, nowe powstają zastępy, a biją się dzielnie, nie zważając ilu padnie, bo niewolno pobitymi wracać do obozu, gdyż w takim razie natychmiast zostaliby ukarani śmiercią. Żołnierze nie mogą mieć ani rodziny, ani pieniędzy, ani żadnych posiadłości życie ich nawet jest własnością króla. Żadnemu niewolno się żenić przed skończeniem lat czterdziestu, ale znowu doszedłszy tego wieku każdy musi pojąć żonę pod karą śmierci. Odznaczają się szybkością obrotów, czujnością, niezmordowaną wytrwałością i szczególnym zmysłem napadania wtedy właśnie gdy nieprzyjaciel najmniéj się tego spodziewa. Całe prawie wojsko Cetywaya uzbrojone jest w karabiny angielskie, dostarczone im przez Portugalczyków z Delagoa Bay, i dobrze umieją posługiwać się nimi. Zdaje się iż łudzą się bardzo ci co spodziewają się prędkiego końca téj wojny; Cetywayo jest odważny, zuchwały i nieugięty, i prawdopodobnie tylko w jakichś swoich widokach okazuje niby chęć układania się o pokój. W chwili rozpoczęcia wojny miał się wyrazić w ten sposób: „Zarąbię na siekankę wszystkich przybyłych do mego kraju angielskich żołnierzy, a gdy tych *pożrę* nie nasycę się jeszcze i będą zmuszeni dostarczyć mi nowych.“ Cała nadzieja w tem iż jeżli uda się Anglikom wytępić regularną armię, zastępujące ją hordy nie zdołają tak skutecznie się opierać.

Misyonarz Witts który długo przebywał w Zululandzie opisał obyczaje i zwyczaje krajowców, którzy nie są bynajmniéj, jak to utrzymywano, podobni dzikim gorilom; przywiózł on z sobą do Londynu młodziutkiego Zulusa, siostrzeńca Cetywaya; jest to typ bardzo wybitny rasy żydowskiéj. Język Zulusów ma wiele analogii z hebrajskim i Witts mniema że ludność tych wybrzeży afrykańskich pochodzi od owych dziesięciu zaginionych plemion, od których pochodzenie tyle ludów przypisywało sobie.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Nowy wzrot w powieści przez p. Zola.

Tak jak uczniowie Darwina czyli jego przedrzeźniacze, nie wytłomaczyli wszystkiego choć pewni są odkrycia wszelkiéj tajemnicy, tak znowu pisarz francuzki Zola narobił ogromnéj wrzawy, rozprawami o nowym zwrocie w romansie i powieści, czyli o wytworzeniu szkoły literackiéj, będącéj dalszym objawem rozwagi ducha twórczego. Pan Zola zna widocznie doskonale swoich rodaków i umie poruszyć ich uwagę. Gdyby był dał swoją pracę bez przedmowy, zapowiadającéj zręcznie nową epokę światła; gdyby nowemu niby zwrotowi nie był nadał odrębnéj nazwy, gdyby téj nazwy nie starał się zastosować do najróżnorodniejszych przedmiotów, to z wszelką pewnością byłby zaliczonym do bardzo zdolnych pisarzy, ale nie bylibyśmy świadkami nadzwyczajnego wypadku, sześćdziesięciu edycyi w ciągu kilku lat jednéj i téj samej powieści.

Na czem spoczywa oryginalność Zoli?

W usposobieniu człowieka znajdują się w mniejszym lub większym stopniu, zarody wszelkich cnót ale i wszelkich wad bez wyjątku. Człowiek najdoskonalszy ma chwile słabości, w których potrzebuje całéj siły woli aby się uchronić od upadku; są znowu inni grzeszący skrycie, a przybierający obłudnie pozorne piętna cnoty; w ostatku, szczególniéj w niższych warstwach społecznych, znajdują się prawdziwe kałuże moralne, gdzie względy wstydu i przyzwoitości należą do uczuć i wyobrażeń zupełnie nieznanych. Dotychczas powieściopisarze zajmowali się po większéj części działem pierwszym i drugim: zedrzéć maskę obłudy z udanego świętoszka, przedstawić walkę różnorodnych namiętności z rozumem, dać przykłady odniesionego zwycięztwa lub upadku i następstw ztąd wypływających, były myślami przewodniemi różnorodnych utworów, bez względu na ich razmiary i formę. Bogata to nadzwyczajnie kopalnia zdaje się nietknięta dotychczas, chociaż wiele pokoleń po sobie następujących, czerpały i czerpią z niéj obficie. Chcąc jednak zająć czytelnika, dziełem opartem na psychologii umysłu i serca człowieka, potrzeba niepospolitego talentu; z drugiéj strony massy czytelników mniéj oświeconych, wymagały wypadków dramatycznych wzbudzających zajęcie. Dwie dążności tyle przeciwne, były nadzwyczajnie trudne do pogodzenia; romansopisarze szczególniéj francuzcy chcąc rozwiązać stawioną zagadkę wytworzyli świat sztuczny, urojony, mieszcząc w nim nie ludzi, ale istoty zbliżone do aniołów lub szatanów. Powieść jednak tego rodzaju, po krótkiem choć świetnem powodzeniu, zaliczoną została do sprzętów nieużytecznych i ostatecznie odrzucona, jako nie prowadząca do celu. Pisarze tegocześni, zwrócili badanie swe do świata rzeczywistego, chcąc malować człowieka takim jakim jest rzeczywiście. Dla wzbudzenia większego zajęcia, podkładano pod tę formę zagadnienia społeczne, polityczne, lub religijne, dając obrazy zaczerpnięte ze starcia przeciwnych obozów.

Malując jednak rzeczywitość, niepodobna uskuteczniać tego z drobiazgowością fotografii.

W głębinach naszego sumienia, staczamy częstokróć walki z których wychodzimy zwycięzko, gdyby jednak takowe uwydatnione były przed światem stanowiłyby w dziwnem świetle człowieka podawanego nieraz za wzór doskonałości.

Dotychczas więc autorowie unikali malowania stron zbyt drażliwych, powodując się uczuciem szlachetnem, rzucali zasłonę na pewne zdrożności i uchybienia lękając się może rozszerzenia zarazy moralnéj.

Zola pierwszy zamierzył pójść drogą odmienną. Wszelkie tajenie prawdy nazwał niegodnem każdego prawdziwego artysty; tak jak w pracowni malarza model powinien być odrysowanym z drobiazgową dokładnością; człowiek uczciwy nie powinien lękać się dotknięcia kałuży choćby największéj; wydobycie błota na wierzch, może je osuszyć i zamienić na niwę urodzajną. Zwrotowi tego rodzaju nadał miano naturalizmu, czyli chcąc oddać po polsku główną myśl autora, wypadłoby *naturalizm* nazwać *jaskrawą rzeczywistością*. W tym celu Zola przekształcał słynne wyrażenia Tiersa „*rzeczpospolita będzie konserwatywna albo nie będzie wcale*, zastępując wyraz rzeczpospolita nazwą przedmiotu o którym mówi, a wyraz konserwatywny, przez naturalny. W ten sposób powstały określenia jemu właściwe, a mianowicie: romans będzie naturalny albo nie będzie wcale; teatr będzie naturalny albo nie będzie wcale; rzeczpospolita będzie naturalną albo nie będzie wcale i t. p. Jednem słowem Zola chce stanowić epokę, w któréj każda rzecz nazwaną będzie po imieniu, w któréj wszelkiego rodzaju omawiania prawdy, odrzucone będą raz na zawsze, w któréj nareszcie wzgląd na stosowność lub niestosowność, nie będzie branym na uwagę. Wychodząc z tego stanowiska zapatrywania, wszystko co dotychczas zrobionem zostało jest nieużytecznem, jako oparte nie na prawdzie ale na jéj pozorach. Sądząc wszystkie stronnictwa nie wyłączając republikańskiego odważnie i odpowiednio do swéj metody, widocznie chce zająć stanowisko wielkiego reformatora, nie tając tem samem swéj wyższości, względnie do współczesnych pracowników. Ujawnione dążności tego rodzaju, naraziły go na ciosy krytyki nielitościwéj, szczególniéj z obozu republikanów. Miłość własna dotkniętą została srogo, za okazywane jawne lekceważenie przez Zolę. Każde stronnictwo uważa siebie bezwarunkowo za nieomylne, i nie przebacza jeżeli ktoś ośmieli się wypowiedzićć zdanie przeciwne. Nie podobna jednak było uderzyć wprost na tego pisarza. Talent jego niezaprzeczony dawał mu stanowisko obronne niełatwe do zdobycia, potrzeba było nderzać z boku prowadząc walkę podjazdową. Trudno byłoby zliczyć wszystkich docinków jakie spotkały biednego Zolę; dzienniki zkąd inąd nawet poważne zamieszczały w swych szpaltach różnego rodzaju opowiadania humorystyczne, usiłujące go ośmieszyć.

W jednym naprzykład przedstawione jest marzenie senne Zoli: że wszyscy pisarze w najdawniejszych nawet czasach byli jego naśladowcami, a Balzak prawie przepisywał jego powieści. Gdzieindziéj znowu dzisiejszy prezydent Grevy przychodzi z ministrami oświadczyć mu że rzeczpospolita będzie naturalną. Zola nie dając mu dokończyć rozpoczętego zdania przerywa:

— Wiem co pan chcesz powiedzieć! Przychodzisz ustąpić mi miejsca przez siebie zajmowanego. Nie przyjmę jednak obowiązków prezydenta rzeczpospolitéj, gdyż w obecnym stanie rzeczy, na polu naturalizmu nie znacie nawet abecadła. Mam do spełnienia ważniejsze posłannictwo. Wszechświat albo będzie naturalnym, albo nie będzie wcale; ja! Zola w prowadzonéj walce nie ulęknę się największéj trudności.

Nawet krytyk tak poważny jak Franciszek Sarcey, pisząc o jednéj z rozpraw Zoli, dotyczącéj teatru, ocenia ją ze znacznem przymieszaniem żartobliwości do myśli wypowiedzianych poważnie.

Niedawno ogłoszony został w Paryżu Rocznik poświęcony sprawom teatralnym i muzyce. Sprawozdania dotyczące tych dwóch działów, poprzedzone są zazwyczaj, przedmową napisaną przez pisarza najwięcéj wziętego. W roku zeszłym, żadne nazwisko nie było tak często powtarzane jak Emila Zoli; redakcya przeto Rocznika, jemu powierzyła napisanie słowa wstępnego. Autor znalazłszy mównicę bardzo doniosłą, i z któréj głos wydany może trafić do kół najpoważniejszych, korzystał z nastręczonéj sposobności, aby wykazać konieczną potrzebę naturalizmu w teatrze.

Franciszek Sarcey robiąc sprawozdanie o téj pracy wypowiada pół żartem pół seryo przypuszczenie: że Zola ze słowa naturalizm zrobił łapkę na naiwnych, śmiejąc się skrycie z wrzawy jaką wywołał. Byłoby to bardzo dowcipne, mówi daléj Sarcey, chociaż wedle zdania Emila Zoli, człowiek gienialny za jakiego rzecz prosta uchodzi, nie jest i nie powinien być dowcipnym. Teorya ta sprowadza Szekspira i Moljera do rzędu zwykłych talencików, jedynie tylko z powodu dowcipu znajdującego się w ich sztukach.

Przechodząc w ten sposób pojedyncze ustępy rozprawy, Sarcey wykazuje albo ich niewłaściwość, albo myśli w nich zawarte podaje jako znane i wprowadzone od dawna w wykonanie. Zola chce, mówi on, aby dzieło sztuki było wierną kopią natury. Teorya tego rodzaju jest odwieczna, wszyscy pisarze dramatyczni bez wyjątku usiłowali dać wierne obrazy rzeczywistości, a jeżeli nie zawsze to się im powiodło, to nie z braku chęci ale z braku talentu.

Rozumowania krytyka francuzkiego mogą być bardzo sprawiedliwe, gdyby jednak głos nasz doszedł do jego wiadomosci, to byśmy się go zapytali: dlaczego prace Zoli zrobiły tak wielkie wrażenie? Dlaczego i nazwisko jego i zdania przez niego wypowiedziane a nawet wyraz *naturalizm* znajduje się na wszystkich ustach? Widocznie Zola dotknął nerwu żywotnego, kiedy kilkoma pracami zwrócił na siebie ogólną uwagę.

Trudno jeszcze dzisiaj osądzić dokładnie tego pisarza; o ile nam się jednak zdaje, Zola chce stawić prawdę na należnem jéj stanowisku, zawsze i wszędzie tak w życiu jako téż i w sztuce. Przeciwko podobnéj dążności nie można nic powiedzićć, w dzisiejszych czasach prawda jest w prawdzie słońcem przyświecającem, ale nadzwyczajnie słabo; swobodny rozwój jéj promyków tamowany jest przez tyle względów, że częstokroć nie są w stanie przedrzeć wytworzonéj z nich zasłony. Zola przeto chociaż surowo sądzony przez republikanów, chce rzeczywiście wytworzyć prawdziwą dźwignię rzeczypospolitéj, odrzucając wszystko, co zmienia treść a nawet formę rzeczywistości.

Wychodząc z tego stanowiska zapatrywania, zmienioną została metoda. posługująca do tworzenia i układania dzieł sztuki. Dla lepszego uwydatnienia naszego rozumowania, zaczerpniemy dane z literatury polskiéj.

Józef Korzeniowski oceniając jednę z powieści Teodora Tryplina, daje ogólną teoryą powieści, wedle któréj prawdopodobnie i sam układał utwory tego rodzaju. Otóż wprowadzając w czyn wskazówki Korzeniowskiego, tworząc charaktery ludzkie, potrzeba tak długo wpatrywać się w nie myślą, aż nareszcie przyobleczone będą w ciało i staną się widocznemi dla wzroku naszéj duszy.

W latach ostatnich działalności literackiéj Korzeniowskiego zjawił się nowy pisarz, którego nazwiska rozmaite względy nie pozwalają nam wymienić, układający opracowania swe, wedle odmiennéj zupełnie zazady. Nie tworzył on charakterów, ale usiłował malować je z natury, podsłuchując lud wiejski i w odpowiedniem przebraniu, wchodząc w stosunki z niższemi warstwami ludności Warszawskiéj.

Korzeniowski malował świat będący dziełem jego wyobraźni, ułożony na obraz i podobieństwo świata rzeczywistego; ów pisarz ludowy rzeczywistość przyoblekał w formy wskazane przez sztukę, nie ośmielając się nigdy zeszczerbić prawdy pomysłami mającymi swój byt w krainie fantazyi.

Otóż ów pisarz stanął na czele nowego zwrotu literackiego, który teraz dopiero Zola we Francyi usiłuje sformułować i określić.

Oh! Franciszek Sarcey ma słuszność, wszyscy pisarze bez wyjątku usiłowali malować z natury, potrzeba jednak do tego odpowiedniego talentu, w braku którego dziwolągi wytworzone przez własną wyobraźnię podawane są za obrazy świata rzeczywistego. *G. K.*

LISTY Z MADRYTU.

II.

Szkoda wielka że tegoczesna literatura hiszpańska, tak bogata treścią i formą, tak płodna i oryginalna, jest prawie nieznaną w Europie, choćby z przekładów. A jednak poznaćby ją warto, bo jest bardzo wielu zdolnych pisarzy, wielu nawet znakomitych we wszystkich gałęziach nauk i literatury.

Pięknych, znakomitych utworów tak w prozie jak w poezyi lirycznéj i dramatycznéj, w historyi, w polityce, w dziale naukowym, w sztukach pięknych. w krytyce i powieściopisarstwie, nie domyślałem się nawet zwłaszcza u narodu tak nieustannie wstrząsanego coraz nowemi zaburzeniami, który powszechnie uważano za wycieńczony i upadły, skutkiem fanatyzmu, ciemnoty i absolutyzmu. Dziwna rzecz jak naród ten mógł zachować taką żywotność i taki postęp rozwinąć w piśmiennictwie.

Niesłusznie bardzo powstawano na wolność nauczania nadaną przez konstytucyę. Korzystano z niéj natychmiastowo tak w Madrycie jak po prowincyach i powstawać zaczęły rózne zakłady i kółka. Największy ruch postępowy objawił się w Malaga, w Grenadzie, w Barcelonie i w Sewilli. Nieustanne konferencye i wykłady publiczne najrozmaitszych przedmiotów, rozszerzyły i rozpowszechniły wiadomości naukowe; ukazały się także rozmaite wydawnictwa specyalne. I tak w Madrycie, oprócz licznych gazet i dzienników, w których, od czasu do czasu pomieszczane bywają bardzo poważne artykuły, wychodzi znaczna liczba różnych przeglądów i tygodników poświęconych naukom, sztukom, badaniom technicznym i literaturze. Wymieniam najwięcéj rozpowszechnione.

Pisma te mają nader licznych prenumeratorów i nader silny dały popęd rozwojowi wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiéj, sztuk pięknych i polityki; zdaje się że można na pewno wnioskować o rozwoju i mierze inteligencyi narodu, z liczby i treści pism peryodycznych i dzieł wydawanych.

Do roku 1868 pojawiały się tylko bezowocne usiłowania wydawnictw peryodycznych, żadne prawie utrzymać się nie mogło. Przeglądy ukazały się dopiero w tymże roku i odrazu dobrego doznały przyjęcia. Wtedy to zaczął także wychodzić *la Revista de Espana* wydawany przez wytrwałego i pełnego energii, pana Albareda. W piśmie jego mieszczą się prace oryginalne, często znakomite, część polityczna jest od samego początku redagowana przez liberalnych konserwatystów. Pismo to czytane jest przez całą rozumniejszą i myślącą publiczność, i rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy.

El Boletin, revista de la Universital central (*Bu-*

etyn, *przegląd uniwersytetu centralnego* było to pismo wyłącznie naukowe, obejmujące doskonale redagowane artykuły pióra profesorów Uniwersytetu. Może jednak zanadto uczone było dla ogółu czytającej publiczności, gdyż pomimo że naukowy świat europejski przyjmował je z wielkiem uznaniem, gdyż zajmowało się ruchem umysłowym nietylko w Hiszpanii ale także we Francyi, Niemczech, Anglii i Włoszech, jednak dla niedostatecznéj liczby prenumeratorów, obecnie wydawnictwo jego zostało wstrzymane.

W roku zeszłym zaczęło wychodzić nowe pismo *la Revista Europea* (przegląd europejski) obejmuje on głównie artykuły traktujące o wielkich zadaniach tegoczesnéj nauki i o filozofii historyi.

Revista Contemporanea (przeglad współczesny) założony w 1877 r. pod redakcyą pana Perojo, autora znakomitego dzieła o nauce i polityce Niemiec. Traktuje o piśmiennictwie i kwestyach współczesnych, i jest dość rozpowszechniony.

La raza latina (rasa łacińska) wychodzi w dwóch językach, w hiszpańskim i francuzkim, obejmuje bardzo dobre artykuły różnorodnej treści, pisane przez Hiszpanów i przez Francuzów, ma licznych abonentów tak w kraju jak we Francyi, których liczba ciągle wzrasta.

La Ilustracion pismo to tak pod względem rysunku jak wykonania oraz wyboru podawanych ilustracyi, może śmiało współzawodniczyć z najpierwszemi tego rodzaju wydawnictwami zagranicznemi i nie ma sobie równego w Hiszpanii. Pismo to podaje reprodukcye arcydzieł sztuki i przemysłu, bieżących wydarzeń, oraz portrety znakomitości krajowych i zagranicznych. Do powodzenia téj publikacyi przyczynia się kwiat literatów hiszpańskich.

Tak w téj ilustracyi jak w fejletonie *Impartial'a* czytałem piękne artykuły tchnące gorącem uczuciem, podpisywane Marya de la Pena; pseudonim ten ukrywa nazwisko wielkiéj i pięknéj damy madryckiéj. Utalentowana ta autorka odznacza się pięknym i obrazowym stylem, bystrością postrzeżeń i wytrawnością sądu.

Naród hiszpański więcéj daleko niż w ogóle inne ludy zajmuje się polityką. Oprócz osób poważnych i myślących, polityka nie jest bynajmniéj obcą masom ludu, gorącego i namiętnego, który równie gwałtownie umie kochać jak nienawidzieć. Masy te nader żywo zajmują się sprawami politycznemi. Źle kierowano niemi w początkach rewolucyi, pochlebiając zbytecznie ich socyalistycznym i komunistycznym dążnościom dla skłonienia do popierania rzeczypospolitéj federalnéj. Rola ich przez to w polityce czynnéj mogłaby stać się zgubną, gdyby obok owéj interesowanéj propagandy, rozprawy i wyjaśnienie faktów przez gazety, jakoteż ogólne rozpowszechnianie niezbędnych wiadomości, nie rozjaśniało problematów społecznych, prostując pojęcia moralne i powstrzymując tym sposobem nadużycia pospólstwa.

Tak więc liberalna prasa hiszpańska wielkie położyła zasługi w ciężkich tych przejściach, prowadząc zaciętą walkę z mrzonkami demagogicznemi a tem samem broniąc społeczeństwo przeciw rozhukanym wybrykom, bez względu że ściąga na siebie niepopularność i niechęć sfanatyzowanych tłumów. Pomimo wielu nadużyć, wolność prasy wydała w ogóle w Hiszpanii nader zbawienne owoce; klasy zamożne obudziła z odrętwienia dając im uczuć grożące niebezpieczeństwo, a lud pogrążony dotąd w ciemnocie, przygotowała do nowych pojęć i postępu.

Szkodliwe wybryki i dążności niektorych publicystów, potępiających wszelkie bez wyjątku czynności rządu i domagających się anarchii i rozkładu, zmusiła Castellara do postanowienia surowych kar przeciw dziennikarzom przekraczającym granice, do określania zakresu rozpraw i wzbronienia wygłaszania doktryn podkopujących porządek moralny i społeczny. Od owéj chwili prasa podlega nadzorowi rządu; lecz skoro nadużycia ustały, wojna domowa stłumiona, i obecnie nic już nie usprawiedliwia rygoru krępującego objawy myśli, Kortezy położyli koniec nieprawidłowemu stanowi rzeczy, przywracając w zupełności system konstytucyjny.

Najdawniejszy z dzienników hiszpańskich jest *Diario de Barcelona* (Dziennik barceloński) wychodzący w stolicy Katalonii pomieszcza wyborne korespondencye z Madrytu i z zagranicy, wygłasza może pojęcia i dążności zanadto reakcyjne i jest może trochę za gorący; zawsze jednak organ ten stronnictwa umiarkowanego odznacza się wielką sumiennością i dokładnością podawanych szczegółów.

W Madrycie wychodzi po kilka dzienników należących do jednego stronnictwa ale przedstawiających różne jego odcienie i stopnie. Jedne jak *el Siglo* (wiek) *la Espana* (Hiszpania) *el Tiempo* (Czas) odznaczają się dążnością tak zwaną ultramontańską, posuniętą do krańcowości; inne, nie żrywając z przesadnym konserwatyzmem, są przecież liberalniejsze. Do takich należy *la Epoca*, najwięcéj rozpowszechniona w Europie ze wszystkich gazet hiszpańskich, a choć nie jest wyraźnym organem żadnego stronnictwa, ale w najburzliwszych nawet czasach broniła sprawy porządku i restauracyi. Wytrwałość taka i wierność niezachwiana nader jest rzadką w czasach gdzie zmiany przekonań stały na porządku dziennym.

Obok *Epoca* postawić należy dziennik *la Politica* który miał utrzymywać polemikę ze stronnikami opozycyi konstytucyjnéj, w tonie nader pojednawczym i umiarkowanym.

Do tejże kategoryi należy *el Diario espanol* (Dziennik hiszpański) broniący polityki ministeryum; jest wielkiego formatu a obok niego, jak około przewodniéj gwiazdy, grawitują mniejsze dzienniki różnych odcieni ministeryalnych. Większość ich niedawno powstała, i trudno przewidzieć jak długo pożyją.

Przejdźmy teraz do opozycyi.

Tu pierwsze zajmuje miejsce *la Iberia*, wiodący już długi, pełen przygód żywot. Dziennik ten stacał bardzo dobrze obmyślane i skuteczne walki, podczas ostatnich lat panowania królowéj Izabeli i w początkach rewolucyi, dziś nie ma już tylu czytelników, choć niekiedy zamieszcza bardzo znakomite artykuły.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. Emmie. Wierszyk w treści jest bez zarzutu: poczciwe uczucie widnieje w nim w każdéj myśli a zarazem i rozsądne na świat zapatrywanie się. W formie są tylko znaczne niedostatki i zużyte zwroty z dzisiejszemi wymaganiami zupełnie nie zgodne.

Pa: F. T. W. w Rogoźnie w Księ: Poznańskiem. W artykuły odpowiednie jesteśmy zaopatrzeni na bardzo długo, z dobrych zatem chęci korzystać nie możemy.

Panu? Nowelka opracowana starannie ale za wiele gadulstwa co całości niezmiernie szkodzi. Jeżeli Autor pozwoli na małą amputacyą, to dokonamy tego, wydrukujemy i jesteśmy przekonani że praca cała wiele na tem zyska. Wytknięta wada gadulstwa nie powinna źle być tłomaczona; jest to nadmiar myśli: gorzéj gdy brak ich zupełny. Dla bliższego porozumienia brak nam adresu.

Panu A.....o. Wierszyk p. t. *Ze wspomnień Wilna*, nie odpowiada warunkom niezbędnym w podobnego rodzaju wypracowaniach. Chętnie radzibyśmy przynieść pomoc, ale żądanie jest prawie niepodobne do wypełnienia. Znalezienie pracy chlebodajnéj jest uwieńczeniem zabiegu nieraz połowy życia, czyż ją można dostać już gotową? Człowiek wyszukujący pracy nie sam przez siebie, ale przez drugich, podobny jest do podróżnego który nie chcąc narażać się na trud i wywiadywania się o kierunku drogi, czeka żeby go kto z przejeżdżających zabrał na bryczkę i dowiózł. Zdarza się to czasem, ale jakże rzadko, gdy wytężający wszystkie siły dochodzi zawsze tam gdzie zamierzy. Radzimy tak samo postąpić.

Ludzie rady, współczucia a nawet pomocy nie odmówią, ale czekać żeby w upadku ktoś nas postawił na nogi a nie my sami, to nigdy na dobre nie wyjdzie. Oto rada prawdziwie przyjacielska: być może że zawiedzie oczekiwanie, ale przyjdzie czas, że należycie ocenioną zostanie.

Pa. Teresie R. w Korolewie. Rosprawkę w tak pięknym wydrukowaną celu, w krótce wydrukujemy. Kolejne wytknięcie wszystkich błędów językowych z wyjaśnieniem zasad przeciw którym grzeszą, byłoby wielce pożądane.

Panu X. V. lim. Początek pracy pochlebnie świadczy o całości. Prosimy zatem o koniec a drukować jéj nie omieszkamy.

Pa: P. B. we Włocławku. Korespondencya jak zwykle dobrze napisana, ale cały wstęp jest za drażliwy dla pisma naszego, a reszta, oprócz wiadomości o fabryce fajansu, nie jest interesująca. Artykuł więc tak bardzo zmniejszony nie może stanowić korespondencyi.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 17 Іюля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Dziwi mnie to, Fanny, że nie chciałaś zostać jego żoną; pomiędzy tak pięknym chłopcem a starym jak ja żołnierzem, znużonym obozowemi trudami, zachodzi takaż sama różnica jak między Apolinem a Herkulesem Farnezyjskim.

— A jednak wiele osób z prawdziwie wykształconym gustem, przekłada Herkulesa, jako typ prawdziwie męzkiéj piękności, nad Apolina Belwederskiego. Eryk jest bardzo piękny, zbyt piękny na mężczyznę, a żona takiego pół-bożka jest zwykle wystawiona na ciężkie próby. Zresztą mało mnie obchodzi pozyskanie serca które już setki kobiet posiadały przedemną. Wszystko albo nic, to dewiza Forrester'ów. Czy jesteś pewnym tego, mój panie, że obecnie wszystko posiadać będę.

— Wszystko, aż do najdrobniejszego atomu. Oddaję ci serce w którem już od siedmnastu lat nikt nie gościł ani na chwilę. Przed tem... Westchnął ciężko patrząc w jéj oczy. Ale zapewnie już wiesz o tem?...

— Tak, lady Dynely opowiedziała mi wszystko. Wszak ona już nie żyje?

-- Gdyby żyła jeszcze nie poważyłbym się wyznać ci uczuć moich.

Puścił jéj ręce, odszedł i stanął przy oknie. Słońce zapadało w morze za zielonemi pagórkami, i obłoki w téj stronie ognisto purpurową przybrały barwę. Drobne kropelki błyszczały jak dyamenty na różach i werbenach, przypominając niedawną burzę.

Fanny pozostała na swojem miejscu patrząc na niego uważnie, a w sercu jéj zbudziło się jakieś przykre uczucie.

„Dziewiętnaście lat upływa jak rozstali się z sobą, pomyślała, i samo tylko wspomnienie o niéj jeszcze tak silne wywiera na nim wrażenie.

Przypomniała sobie wszystko co jéj opowiadała lady Dynely o jego namiętnem przywiązaniu do téj niegodnéj kobiety. Czy można tak kochać dwa razy w życiu? Może tamta zerwała sam kwiat uczucia, a dla niéj pozostała już tylko zwiędła gałązka.

„Fanny!...

Zbliżyła się natychmiast do niego, zawstydzona tą zazdrością względem umarłéj. Otoczył ręką jéj kibić i przycisnął do serca, a jednocześnie słońce ukryło się zupełnie.

„Czy mam ten dzień uważać jako przepowiednię, jako obraz mego życia? Czy jego chmury i burze minęły już na zawsze, a koniec będzie równie świetny jak koniec dnia dzisiejszego. Było ono ciężkie niekiedy, często gorzkie, a zawsze samotne. Znasz już najboleśniejsze jego chwile, znasz dzieje mojéj miłości dla téj kobiety która przywiodła mnie do zguby.

Patrzyła w milczeniu i z niezwykłą sobie lękliwością na jego twarz smutną i lekko zachmurzoną.

„Muszę dziś powiedzieć ci wszystko abym już nigdy nie potrzebował wracać do tego. Jest to przedmiot o którym nie lubię mówić, o którym nawet myślę ze wstrętem. Mówiłaś mi że lady Dynely opowiedziała ci całą tę smutną historyę, słyszałaś więc że dostałem rozwód, że moje i jéj nazwisko przechodziło z ust do ust po całéj Anglii i Kanadzie; że nazwisko Caryll'ów wolne dotąd od wszelkiéj skazy zostało obryzgane błotem rozwodowego procesu. Słyszałaś także o moim powrocie do Anglii i jakie było moje ostatnie widzenie się z matką. Widziałem się następnie z Łucyą, lady Dynely, opowiedziałem jéj wszystko i pożegnałem ją szesnaście lat temu, tegoż samego dnia kiedy mąż jéj zakończył życie. To wszystko już wiesz zapewnie?

— Tak, odpowiedziała pełnym słodyczy głosem; mów daléj.

— Postarałem się o przeniesienie z mego pułku, do innego, odpływającego do Indyj, i przez następne dwanaście lat przebywałem tam ciągle. Mieliśmy zaraz w początku tyle do czynienia, że nie wiele zostawało czasu na żale i rozmyślania. Straszne powstanie którego okropne, krwawe sceny przerażały całą Anglię, w ciągu którego spalono tyle kobiet i dzieci, rozwinęło się już zupełnie. Któż mógł myśléć wtenczas o swych osobistych nieszczęściach, kiedy serca wszystkich dzieci Anglii przepełniała boleść i oburzenie. Było to najskuteczniejsze lekarstwo na złagodzenie moich cierpień. Nie przywiązywałem najmniejszéj ceny do życia, i uważałem że im prędzéj przetnie pasmo dni moich kula jakiegoś cypaja, tem lepiéj będzie dla mnie. Ale kule odbierały życie ludziom lepszym niż ja i potrzebniejszym na świecie, a mnie oszczędzały. Można było sądzić że posiadałem jakiś talizman nietykalności, uczestniczyłem we wszystkich bitwach z tymi czarnymi szatanami, rzucałem się w najgorętszy wir walki, i nigdy nie odniosłem najlżejszéj rany. Nakoniec pomordowani ziomkowie nasi zostali pomszczeni; stłumiliśmy to krwawe powstanie. Nie wiele mogę powiedziéć o dalszym moim pobycie w Indyach; było to zwykłe i jednostajne życie żołnierza; ćwiczenia, parady, rewie w Kalkucie lub Bombayu, a dla rozrywki polowanie na szakale, dziki lub tygrysy. Życie takie w końcu stało się dla mnie nieznośnem, opanowała mnie tęsknota za krajem; potrzebowałem zobaczyć znów Anglię, potrzebowałem raz jeszcze zobaczyć matkę. Sprzedałem stopień, wróciłem do kraju i zasięgnąłem wiadomości o tych co mnie najbliżéj obchodzili. Matka opuściła na zawsze Caryllyne i zamieszkała w Rzymie. Adoptowała jedyną córkę zmarłego jenerała Forrester i postanowiła zostawić jéj cały swój majątek. Panna Forrester pobierała naówczas nauki w Paryżu, w jakimś klasztorze. Lady Dynely była wdową; i ona także przybrała za syna jakiegoś chłopczyka sierotę, który pobierał nauki w Eton, wspólnie z jéj synem. Zebrawszy te wszystkie wiadomości, raz jeszcze wyjechałem z kraju, ale teraz już udałem się do Ameryki. Przebiegałem ją bez celu wszerz i wzdłuż, przemyśliwając co mam postanowić o méj przyszłości. Nagle przyszła mi ochota dowiedzieć się co się stało z kobietą która była niegdyś moją żoną. Czy jeszcze żyje? czy już umarła? Te pytania niepokoiły mnie często, pomimo że starałem się nigdy o niéj nie myśléć; teraz postanowiłem zasięgnąć pewnych o tem wiadomości. Udałem się do Kwebeku, a ztamtąd w toż samo miejsce w którem widzieliśmy się po raz ostatni. Dom w którym mieszkała wtenczas, był teraz bardziéj jeszcze opuszczony, posępniejszy i zupełnie pusty. Wróciłem do miasta i wyszukałem właściciela, był to ten sam z którym mówiłem w czasie pierwszéj mojéj bytności.

„Czy nie mógłbyś mi pan dostarczyć jakich wiadomości o pani Gordon, która była kiedyś pana lokatorką?“ Poprawił okulary i zaczął mi się przyglądać uważnie. „Hę! dawne to już dzieje! Pani Gordon!.... Tak, przypominam ją sobie; kto raz widział tę twarzyczkę, ten z pewnością nie zapomni jéj nigdy. Czy też czasem... wybacz pan że się pytam o to... nie jesteś pan panem Gordon, gentlemanem z którym już raz miałem przyjemność mówić. Mniejsza o to kim jestem, odpowiedziałem, dość że potrzebuję dowiedziéć się co się stało z panią Gordon. Czy nie mógłbyś mi pan powiedziéć gdzie ona znajduje się obecnie?“ Roześmiał się głośno, krzykliwie. „Nie, pomimo najszczerszéj chęci, z powodu że nie urządzono jeszcze telegrafu pomiędzy tym i tamtym światem. Pani Gordon już nie żyje.“ Umarła!... Nagła wiadomość o śmierci osoby z którą byliśmy kiedyś ściśle złączeni, musi w pierwszéj chwili sprawić na nas silne wrażenie, bez względu czy nam była drogą lub nienawistną. Umarła! więc byłem już zupełnie wolnym! Odetchnąłem jakby spadł ciężar przygniatający mi piersi. „Czy nie mógłbyś mi pan powiedziéć gdzie, i kiedy umarła? zapytałem po chwili.—Był to smutny, bardzo smutny wypadek!... Została zabitą...—Zabitą?—Nic dziwnego że to pana tak przeraziło. Tak, biedna kobieta znalazła śmierć w czasie strasznego wypadku na kolei żelaznéj. Zaczekaj pan chwilkę, mam jeszcze donoszącą o tem gazetę; zwykle wycinam i chowam wszystkie takie artykuły.“—Szukał czas jakiś w biórku, a w końcu wyjął z niego gazetę wychodzącą w Montrealu, wydaną cztery lata temu, i wskazał mi w niéj ustęp zawierający szczegółowy opis tego okropnego wypadku, oraz listę ranionych i zabitych. Wśród tych ostatnich znalazłem nazwisko pani Gordon. „Jeżeli to są jedyne dowody jéj śmierci, rzekłem, to nie można na nich polegać. Nazwisko Gordon jest dość pospolite. Tak, ale przeczytaj pan to jeszcze.“ Przewrócił kartę i wskazał mi palcem następujące objaśnienie. „Pani Gordon, któréj nazwisko znajdujemy na liście ofiar téj strasznéj katastrofy, należała do rzędu tych kobiet których dzieje mogłyby posłużyć za tło powieści. Była zarazem sławną pięknością i sławną tancerką, a niektóre szczegóły jéj życia nie musiały jeszcze zapewnie wyjść z pamięci naszych czytelników, gdyż ona to była bohaterką głośnego przed dziesięciu latami rozwodu. Młody oficer angielski, pochodzący z bardzo znakomitéj rodziny i bardzo bogaty, Gordon Caryll, i t. d.“ W skróceniu powtarzano historyę baletniczki, jéj wspólnika i łatwowiernéj ich ofiary. „Następnie, pisano daléj, wróciła na scenę, i szybkim krokiem zbliżała się do sławy i majątku, kiedy ten opłakany wypadek pozbawił ją życia.“

A więc taki był koniec téj piękności, tak zachwycającéj że mi się już nigdy równéj nie zdarzyło widzieć, pomyślałem wpatrując się w dziennik. Głos pana Barteaux przerwał moje rozmyślanie. „Co rok, mówił, licząc od czasu w którym opuściła Kwebek, wracała na kilka dni w te strony, aby załatwić rachunki z Joanną Kennedy i odwiedzić swe dziecię, śliczną małą dziewczynkę, żywy portret matki.“ Zbliżyłem się do niego odurzony. „Jakie dziecię?... Jaką dziewczynkę?“ Znów poprawił okulary, i zaczął mi się przyglądać bacznie. „Więc pan nie jesteś panem Gordonem? Panem Gordonem Caryll, chciałem powiedzieć, gentlemanem który się z nią ożenił, a następnie rozwiódł. Sądziłem, daję słowo że pan nim jesteś.—Cóż to pana może obchodzić kim ja jestem, mój szanowny panie, zechcéj mi lepiéj powiedzieć o jakiem mówisz dziecku.—O jakiemże mówiłbym, u licha! jeżeli nie o dziecku pani Gordon, które urodziło się w kilka dni po ostatniéj pana bytności, i które ona wyjeżdżając zostawiła pod opieką Joanny Kennedy... Dziecię!... dotąd nie o tem nie wiedziałem, nawet nigdy mi to nie przyszło na myśl. Dziecię!.. jéj i moje!.. Milczałem czas jakiś rozmyślając nad tem co usłyszałem. „Dała małéj imię Gordon, zapewnie na pamiątkę ojca. Nie mogła jéj zabrać z sobą, więc zostawiła ją pod opieką Joanny, ale zawsze szczodrze łożyła na jéj utrzymanie. Odwiedzała ją co rok, i właśnie wracała od niéj gdy ją spotkał ten straszny wypadek.“ Wstałem odurzony do najwyższego stopnia tą niespodziewaną wiadomością. „Gdzie mieszka ta Joanna Kennedy? zapytałem. Muszę widzieć się z nią dziś jeszcze, jeżeli to jest możliwem.—To całkiem niemożliwe, odpowiedział pan Barteaux; nie wiem gdzie ona teraz mieszka. Trzy lata temu poszła za jakiegoś Mac Gregora, wyjechała z nim na Zachód i zabrała z sobą dziecię pani Gordon. Tak się przywiązała do téj dziewczynki, że własnéj córeczki nie mogłaby kochać więcéj. Od tego czasu nie widziałem jéj i nie słyszałem nic o niéj.—Czy nie możnaby dowiedzieć się jéj adresu?—Nie panie; nikt tu nie wie gdzie się udała; Mac Gregor wyjeżdżając sam jeszcze nie wiedział gdzie się osiedli. Może najlepiéj byłoby posłać ogłoszenie do dzienników w Nowym Yorku i na Zachodzie, może ktoś panu przyniesie pożądaną wiadomość.“—Usłuchałem jego rady; zamieściłem natychmiast ogłoszenie w różnych dziennikach, ale nikt się nie zgłosił. Pragnąłem gorąco odszukać to dziecię, podróżowałem więc długo po Zachodzie, rozpytywałem się wszędzie, ale zawsze naprożno. W owym czasie właśnie wybuchła wojna domowa i wstąpiłem znów do wojska. Po dwóch latach zostałem tak ciężko ranionym w jednéj bitwie, że musiałem zrzec się służby wojskowéj. Zaraz po wyjściu z lazaretu wróciłem do Europy, udałem się do Rzymu i poświęciłem się malarstwu któremu postanowiłem oddać się wyłącznie. W Rzymie, widywałem często ciebie i matkę, ale unikałem spotkania się z wami. Wiedziałem że matka z mego powodu opuściła na zawsze Anglię, że jestem przyczyną jéj smutku; byłem przekonanym że gdybym znów stanął przed nią, odepchnęłaby mnie tak samo jak dawniéj, a czułem że nie miałbym siły znieść tego powtórnie. Następnie, miotany jakimś wewnętrznym niepokojem, udałem się do Anglii; odmalowałem ten obraz, posłałem go do Akademii, i tam w jasny poranek majowy znalazłem szczęście i ciebie.

— A ten obraz, przedstawiający *Zmrok*, odezwała się Fanny, przedstawia także twoje z nią rozłączenie; wszak prawda?

— Tak.

— Biedaczka! A! Gordonie, zawsze ona godna pożałowania; kochała cię... kochała i straciła. Nie umiem sobie wyobrazić nic smutniejszego.

— Ona niegodna twéj litości, ukochana moja! Nie miała najmniejszego wyobrażenia o takiéj miłości jaką ty pojmujesz. Mój Boże! z jakąż to wstrętną bezczelnością ona i ten podły major zastawili zasadzkę i jak łatwowierną znaleźli we mnie ofiarę. Nie mówmy o tem więcéj; opowiedziałem ci już wszystko; nie wracajmy nigdy więcéj do tego przedmiotu. Nie chcę już nigdy w życiu mówić o niéj, ale pragnąłbym bardzo odszukać dziecię.

Zamilkli; słońce już zaszło, ale ostatnie jego odblyski przecinały obłoki smugami barwy świetnie różowéj, złotéj i purpurowéj. Fanny spojrzała na zegarek.

„Siódma godzina. Jakże czas szybko bieży! Zanim wrócę do Opactwa ściemni się zupełnie. Każ zaprzęgać, Gordonie, a ja tymczasem włożę kapelusz.

Odeszła i wbiegła na schody śpiewając wesoło. Jakiż to piękny dzień dla niéj. Lubiła zawsze ten dom stary, ale teraz będzie on jéj milszym nad wszystkie inne, ponieważ spędziła w nim najszczęśliwszy dzień w swem życiu. To Gordon Caryll, kocha go, jest kochaną, i miłość jéj to sprawiła że wraca do matki i starego gniazda swéj rodziny.

Włożyła kapelusik i zbiegła ze schodów. Pan zamku, który według zdania Fanny, przewyższał wszystkich zresztą mężczyzn swą pięknością i szlachetnością postawy, czekał już na nią i wsadził ją do powozu, a potem schwycił lejce i wyjechali razem z Caryllyna. Rumiana tarcza księżyca ukazała się już na niebie, podnosząc się wolno coraz wyżéj. Fanny siedzi milcząca obok Gordona, jest zbyt szczęśliwa aby mogła mówić wiele; ale jéj oczy, i uśmiech błąkający się po ustach, są wymowniejsze nad słowa.

Spełniły się wszelkie jéj marzenia; pozyskała serce sławnego artysty, a ten artysta jest zarazem Gordonem Caryll. Starał się o nią i pozyskał jéj miłość w sposób tak romantyczny, że nawet wybujała wyobraźnia młodéj dziewczyny więcéj wymagać nie mogła. Głos Gordona przerwał jéj rozmyślanie.

„Wyjadę jutro do Rzymu.

— Jutro!... Gordonie, tak prędko!

— Już tyle lat czekała, odpowiedział; nie mogę pojechać do niéj zbyt prędko? Jednak, gdybyś ty...

— O! nie, nie. Trzeba abyś tam pojechał; to twój obowiązek, to jéj się należy; tylko nie pozostań tam zbyt długo.

Słowiki śpiewające w lasach Caryllynu, mogłyby może powtórzyć jego odpowiedź, cichym wyrzeczoną głosem. A więc po tylu latach wygnania i osamotnienia, szczęście i miłość zagościły znów w sercu Gordona.

Odwiózł ją aż do bramy Opactwa, ale nie chciał wejść, mówiąc że pieszo wróci do siebie, bo potrzebuje się przejść aby się uspokoić po przebytych wzruszeniach.

„Czy zobaczę cię jeszcze jutro zanim odjedziesz? zapytała.

— Nie, wyjadę pierwszym pociągiem, a więc zbyt wcześnie abyśmy się widzieć mogli, i dlatego pożegnamy się teraz. Powiedz wszystko lady Dynely, aby miała czas ochłonąć z zadziwienia przed moim powrotem.

Przycisnął ją do serca i pożegnał pocałunkiem.

Rozdział XVIII.

Narzeczeni.

Minęły piękne dni lata; skończył się wrzesień; odgłos wystrzałów z fuzyj myśliwskich nie rozlega się już przez dzień cały. Nadszedł październik a z nim ponure dni, zimne noce i silne wiatry wstrząsające drzewami i strząsające z nich pożółkłe liście.

Jesteśmy właśnie w ostatnim dniu października i w ostatniéj godzinie dnia. Wchodzący w téj chwili blady i zimny księżyc, oświeca pamiętny wieczór w Opactwie Dynely, bo Milady wydaje bal, pierwszy po wielu latach. Większa połowa możnych rodzin w hrabstwie została na niego zaproszoną, a wszyscy przybędą z pewnością.

Wszakże rozeszła się już wiadomość, że Gordon Caryll, zbłąkana owieczka, bohater zbierający laury na polach bitwy w Indyach i Ameryce, którego życie w tak niezwykłe obfituje wypadki, zjawił się nagle i ma być na tym balu. Wiadomość o jego powrocie niezwykłe sprawiła wrażenie, i na dwadzieścia mil dokoła stanowiła główny przedmiot rozmowy.

Wiele osób pamiętało go jeszcze dobrze. Był to młody, wysoki i bardzo piękny blondyn, któremu ślicznie było w mundurze oficerskim, wówczas gdy odpłynął z pułkiem do Ameryki, gdzie spotkał syrenę która przywiodła go do zguby. Wszystkie szczegóły odżyły w ich pamięci, począwszy od skandalicznego ożenienia które zaprowadziło do grobu jego dumnego ojca, i znagliło matkę do opuszczenia Anglii na zawsze, aż do jego rozwodu, powrotu do domu i wygnania.

Wszyscy sądzili że on już nie żyje, i że Fanny Forrester zostanie właścicielką Caryllyna, kiedy nagle ukazuje się jako znakomity artysta i narzeczony spadkobierczyni swéj matki. Wyjechał na kilka tygodni do Rzymu, aby się widzieć z matką, przez którą téż był radośnie i publicznie przyjęty i uznany, a teraz wraca i będzie na balu u lady Dynely.

U lady Dynely! Wszakże te krążyły wieści, kiedy był jeszcze młodziutkim chłopcem, że się kocha w swéj kuzynce. Nie widzieli się od czasu tych zmian wszystkich, i dlatego téż przyjaciele i sąsiedzi uznali że to będzie rzecz ciekawa patrzyć na nich przy tem pierwszem spotkaniu.

Fanny Forrester ma pójść za niego. Wartoby wiedzieć czy żona jego, aktorka, umarła. Sądzono że panna Forrester i lord Dynely są z sobą zaręczeni, a teraz znów zaczynają mówić że lord Dynely żeni się z panną Higgins córką jakiegoś pastora.

Panna Higgins także ma być na balu; przybędzie z ojcem i z jedną z sióstr swoich. Rzeczywiście będzie to wieczór, dający pole do wielu ciekawych spostrzeżeń, dlatego można być pewnym że wszyscy nie omieszkają korzystać z zaproszenia.

W chwili kiedy gasną już ostatnie dnia blaski, a blady księżyc oblewa ziemię i niebo zasiane gwiazdami srebrzystém swem światłem, lady Dynely, już ubrana weszła do salonu. Zawsze blada, zdaje się bledszą jeszcze przy rzęsistem oświetleniu, a jednak wydaje się bardzo młodo w fioletowéj aksamitnéj sukni, z długim trenem, ozdobionéj przepysznemi i bardzo kosztownemi koronkami, i w dziedzicznych dyamentach rodziny Dynelych, połyskujących na jéj głowie, rękach i szyi.

Najwcześniejsi jéj goście za godzinę zaledwie przybędą, ale ubrała się wcześnie, aby mogła godzinę tę przebyć spokojnie i w samotności. Fanny

ubiera się w swym pokoju, równie jak Iza i jéj siostra; Eryk i Terry są także w swych pokojach. Bo Terry odstąpił od pierwotnego swego zamiaru i przybył przed Bożém Narodzeniem; lady Dynely życzyła sobie tego, a Terry nie ma swéj woli tam gdzie idzie o spełnienie jéj życzenia. Jednak boleść po utracie najdroższych dla niego marzeń, nie przeminęła jeszcze; choćby żył sto lat żadna inna kobieta nie będzie dla niego już tém, czém była Iza Higgins.

Nie odznacza się jednak niczém tak bardzo: jest ładna, ale widuje mnóstwo równie ładnych jak ona, nie jest ani wysoko ukształcona, ani dowcipna, ani téż bystrym obdarzona umysłem, a pomimo to żadna inna nie zdoła zająć jéj miejsca w sercu Terrego Dennisona.

Nie widział jéj jeszcze; przyjechała do Opactwa zaraz po południu, on zaś przybył zaledwie godzinę temu, i obawia się tego spotkania, którego konieczność napełnia go niepokojem i smutkiem. Należy teraz do Eryka... Niech i tak będzie: byle tylko zapewnił jéj szczęście, przebaczy mu wszystko. W pierwszym dniu roku zostanie żoną Eryka, a on ma być na ślubie.

Zaraz po przybyciu do Opactwa mówił o tém z lady Dynely..

Zacność jego i nieszlachetność Eryka przedstawiła się żywo w umyśle milady kiedy wyszła na jego spotkanie. Uścisnęła z żywością jego rękę, wpatrując się prawie błagalnym wzrokiem w tę twarz tak smutną teraz i poważną jak nie widziała jéj dotąd.

„Stało się, rzekł z prostotą, odgadując co powiedzieć chciała byle tylko Eryk zapewnił jéj szczęście, nie będę do niego miéć żalu; jéj zaś nie dziwię się wcale... Któżby chciał spojrzéć na mnie tam gdzie jest Eryk?

Powiedziawszy to, uścisnął ją i odszedł do swego pokoju. Na schodach spotkał Fanny która szła do siebie aby się ubrać.

„Mój poczciwy Terry, rzekła Fanny podając mu obie ręce, witając ciebie doznaję takiéj przyjemności jak wędrowiec gdy spotka w pustyni źródło czystéj wody. Jestem przekonaną że w całéj Anglii nie znalazłby się drugi taki jak Terry Dennison.

— Ani téż drugi Locksley... a! przepraszam drugi Gordon Caryll. Więc bohater twych marzeń zjawił się nakoniec; nie znając go jeszcze otoczyłaś aureolą jego skronie, a teraz twój półbożek spuścił się z obłoków i znalazł się u stóp twoich. Odrzuciłaś Eryka i oddajesz rękę Gerdonowi Caryll.

— Odrzuciłam Eryka! odpowiedziała Fanny z oburzeniem; jak można przedstawiać rzeczy w tak fałszywém świetle; wszakże wszyscy wiedzą że to on mnie nie chciał. Więc była to miłość z pierwszego wejrzenia, wszak prawda Terry? i dziwna rzecz, zdaje się że będzie trwalszą niżeli wszystkie dotąd uczucia Eryka. Wiesz zapewnie że ona już przybyła.

— Tak, wiem. Czy kochasz ją, Fanny? Ale tak, bezwątpienia, musiała ci się podobać.

— Nie rozumiem, doprawdy, dla czego musiałaby mi się podobać. Jest ładna; o tak nie przeczę że ma ładne rysy a płeć białą i różową, ale to nie dosyć jeszcze aby ją kochać; zresztą musi być bardzo, bardzo ograniczoną.

— Z kądże taki wniosek, panno Forrester?

— Zdradziła ciebie dla Eryka, wzgardziła człowiekiem a wybrała lalkę, okazywała ci przychylność i byłaby z największą chęcią poszła za ciebie, gdyby on się nie zjawił. Zaledwie zobaczyła złote włosy i takież wąsy, oraz prawdziwie kobiecą płeć jego wysokości, straciła zupełnie głowę, i nic już prócz niego nie widzi. Doprawdy nie mogę jéj tego darować.

— Ale pomimo to będziesz dla niéj dobrą, wszak prawda, Fanny? Biedna Iza! Zdaje się że to dla niéj los bardzo świetny, a jednak...

— A jednak byłaby tysiąc razy szczęśliwszą, gdyby poszła za ciebie. Kobieta która będzie miała zaszczyt zostać małżonką wice-hrabiego Dynely, powinna przygotować się na to, że w bardzo krótkim czasie pozyska palmę męczeńską. Najpiękniejszy z parów Anglii, a zarazem najsłynniejszy może ze swéj niestałości człowiek w Europie, nie daje dostatecznych rękojmi wierności, dla ładniutkiej i niedoświadczonej Izy Higgins. Jakże to pięknie i szlachetnie z twéj strony, Terry, że umiałeś pogodzić się z twym losem i przybyłeś tutaj.

— Lady Dynely życzyła sobie tego, odpowiedział spokojnie, jakby to był powód obok którego wszelkie niezgodne z nim jego zamiary nie mogą miéć żadnego znaczenia.

Fanny wzruszyła ramionami.

— Taka jest wola królowéj. Doprawdy, powinienbyś urodzić się potomkiem rodu Dynelych, godło téj rodziny dałoby się wybornie zastosować do ciebie: *Wierny aż do śmierci*; gdy tymczasem jest ono całkiem nie właściwe dla lorda Eryka, który dla nikogo nie potrafi pozostać wiernym.

— Chciałbym aby słyszał to twoje o nim zdanie.

— Mówiłam mu to już bardzo wiele razy. Ale powiedz mi téż, Terry, w jakim stopniu jesteś spokrewniony z Erykiem? dawno już chciałam zapytać cię o to.

Przy świetle lampy, padającem prosto na twarz Terrego, Fanny spostrzegła że silny rumieniec wystąpił na jego policzki i zarumienił nawet czoło. Zaskoczony tem niespodziewanem pytaniem, nie umiał zdobyć się na odpowiedź; prawdy wyznać nie mógł a kłamstwo nigdy ust jego nie skalało.

Panna Forrester wsparła rączkę na jego ramieniu.

— Przepraszam cię, rzekła z żywością; wiem że jesteś dalekim krewnym Eryka, ale doprawdy, jesteście o tyle do siebie podobni że możnaby was wziąść za rodzonych braci. Nie raz już uderzało mnie to podobieństwo, zwłaszcza w całéj postawie, ale nigdy jeszcze nie było tak wybitne jak obecnie.

Jeszcze silniejszy rumieniec pokrył twarz Dennison'a. Patrzy na nią z zadziwieniem. Jakże dziwnie jest przenikliwą w swych przypuszczeniach. Czy jakim sposobem trafiła na ślady prawdy? Nie, nie, w takim razie nie zadawałaby mu tego pytania z tak wesołym uśmiechem.

Spojrzała na zegarek.

— Siódma godzina! Już dawno powinnabym się ubierać. Do widzenia Terry.

Oddaliła się i znikła za drzwiami swego pokoju. Terry westchnął i udał się wolno do swojego.

— Nie, pomyślał, powiedziała to tylko przypadkiem, bez rozmysłu, nie domyśla się niczego; wierzy temu że jestem dalekim krewnym Eryka...

Mylił się jednak; bo jeżeli słowa jéj tylko przypadkiem tak zgodne były z rzeczywistością, to nagły jego rumieniec wprowadził ją na domysły które inaczéj nie zrodziłyby się nigdy w jéj umyśle.

Słyszała o jakimś dalekim pokrewieństwie; wiedziała że kilkanaście lat temu, lady Dynely zrobiła wycieczkę do zachodniéj części Irlandyi, i że przywiozła ztamtąd Terrego, który naówczas był jeszcze małym, dzikim i niezgrabnym chłopcem, a następnie czuwała nad nim ciągle i troskliwą otaczała go opieką; wiedziała także iż on odwzajemniał jéj się zaȝto ciągłemi dowodami najtkliwszego przywiązania i nieograniczonéj wdzięczności, ale nie przyszło jéj nigdy na myśl aby tam mogło być coś więcéj nad to co wszystkim było wiadome.

„Jesteście o tyle do siebie podobni, że możnaby was wziąść za rodzonych braci.“ Kto wie czy nie jest tak rzeczywiście? Wszak słyszała nie raz jakim to charakterem odznaczał się lord, wice-hrabia Dynely. Lekkomyślność i niestałość Eryka są równie dziedziczne jak jego tytuły. Trudno byłoby zaręczyć że Eryk i Terry nie są rodzonymi braćmi.

Tak, to najlepiéj tłómaczy prawie macierzyńską nad nim opiekę lady Dynely, i jego do niéj pokorne i nieograniczone przywiązanie.

„Biedny chłopiec! pomyślała, ciężki los dostał mu się w udziale. Nazwisko, tytuły, piękność majątek, miłość, wszystko zgoła zagarnął brat młodszy, dla starszego nic nie pozostało.

Tak rozmyślając, ubierała się z pomocą swéj panny służącéj, Pauliny, ale niedługo myśli jéj zwróciły się na inny, bliżéj ją obchodzący przedmiot. Gordon Caryll przybędzie wkrótce, zobaczy go dziś jeszcze, już sama ta nadzieja przyśpiesza bicie jéj serca. Nie widzieli się od owego wieczora kiedy ją pożegnał pod cieniem lip i kasztanów, ale teraz znów będą razem.

Jakże to wszystko jest dziwne, romantyczne, niezwykłe! myślała. Tyle słyszała o nim od najmłodszych lat życia, że w końcu stał się dla niéj jakąś niezwykłą istotą, i marzyła o nim często pomimo że nie sądziła aby mogła spotkać się z nim kiedyś. A tymczasem on wrócił, poznała go, i ten mężny żołnierz, ten znakomity artysta oddał jéj swe serce i będą na zawsze z sobą połączeni.

„Śpiesz się, Paulino, już późno zawołała po francuzku.

Wszak przybędzie za godzinę, a ona chce być gotową aby mogła wyjść na jego spotkanie, powitać go pierwsza, i usłyszéć bez świadków jego powitanie. Już słychać turkot zatrzymujących się powozów; goście zaczynają się zjeżdżać.

Zapukano do drzwi.

„Panno Forrester, czy mogę wejść? odezwał się cichy i nieśmiały głosik.

Fanny sama drzwi otworzyła, i zobaczyła Izę już zupełnie ubraną, ale drżącą z obawy na samą myśl że będzie musiała zejść do salonu napełnionego tłumem gości. Przed zjawieniem się lorda Dynely, i zanim ją spotkało tak wielkie szczęście że zdołała pozyskać jego serce, wszyscy w domu uważali ją za dziecko. Dziś potrzebuje wejść w tak liczne i wyborowe towarzystwo, i przedstawić się tak korzystnie pod względem powierzchowności i ułożenia, aby pochwalono wybór Eryka; będzie wystawiona na ciekawe spojrzenia i krytykę większéj połowy mieszkańców hrabstwa, i przeczuwa że na twarzy Eryka osiądzie wyraz głębokiego niezadowolenia, jeżeli w ułożeniu jéj brak znajomości świata będzie zbyt widoczny. Kocha go tak głęboko, tak silnie, że przeraża ją sama już myśl że mógłby być z niéj niezadowolnionym.

Wznosi na pannę Forrester swe wielkie, lękliwe, pokorne i błagające oczy. Co prawda, imponująca piękność téj bogatéj dziedziczki z czarnemi oczami, onieśmielają także, nie obawia się jéj jednak tak bardzo jak Eryka.

„Panno Forrester, czy mogę wejść i zaczekać tu dopóki się pani nie, ubierze, aby razem z panią zejść do salonu? zapytała nieśmiało.

W miejsce odpowiedzi, Fanny objęła drobną jéj figurkę, widok téj zalęknionéj, prawie dziecięcéj twarzyczki, rozproszył jéj niechęć; uścisnęła ją serdecznie.

— Tak, moja śliczna dziecino, rzekła, wejdź i pozwól abym ci się przypatrzyła. Czy wiesz, moja mała, że nie wyobrażałam sobie abyś była tak ładną?

— O! panno Forrester, czy naprawdę myślisz że się podobam, że sprawię korzystne wrażenie?

Czy sądzisz że Eryk nie będzie potrzebował wstydzić się za mnie?

— Wstydzić się za ciebie? Wprawdzie lord Eryk jest dość wymagającym i nie łatwo go zadowolnić, sądzę jednak że dziś byłoby mu trudno być z ciebie niezadowolonym. Nie chcę ci pochlebiać ani też wbijać cię w dumę, ale doprawdy jesteś podobniejszą do królowéj wieszczek, lub białéj lilii wśród zielonych gałązek, jak do któréj ze znanych mi dotąd kobiet. Jak ci się zdaje Paulino?

Paulina zachęcona tem pytaniem, zaczęła się tak zachwycać i unosić nad pięknością przyszłéj lady, że to aż wywołało rumieniec na twarzyczkę Izy.

„Jak lilja otoczona zielonemi gałązkami.“ Rzeczywiście, trudnoby znaleźć lepsze porównanie. W leciuchnéj jasno zielonéj sukience, w perłach na szyi, i z białą swą twarzyczką ocienioną jasno-blond włosami, była podobną do jakiejś Ondyny, lub do lilii wychylającéj kielich z jeziora i otoczonéj wodnemi roślinami.

W dziesięć minut późniéj, panna Forrester była już ubraną. Brunetka, wysoka i kształtna, piękna, pewna siebie i zupełnie swobodna, stanowiła uderzającą sprzeczność z Izą, gdy weszły razem do salonu. Srebrzysto błękitna suknia z długim trenem, biała lilja i dyamenty w czarnych włosach a w ręku bukiet z białych kwiatów, podwyższały jeszcze jéj wspaniałą piękność.

Eryk zawsze piękny, elegancki i pełen dystynkcyi, oczekiwał przybycia narzeczonéj, i radość zabłysła w jego oczach kiedy ją ujrzał wchodzącą. Prawdę mówiąc niepokoiło go to więcéj jeszcze niż ją samą, jak wyjdzie z téj próby; próżność jego jest tak drażliwą, iż przewyższa wszelkie inne uczucia. W jakimże przykrem będzie położeniu, jeżeli Iza przedstawi się niekorzystnie; jeżeli okaże brak odpowiedniego w wyższem towarzystwie ułożenia, lub ubierze się bez gustu i niestosownie! Dręczył go niepokój prawie gorączkowy, dopóki nie weszła do salonu obok panny Forrester. Teraz znikła wszelka obawa; serce jego zaczyna bić radośnie, oczy błyszczą, uśmiech twarz rozjaśnia, odetchnął swobodniéj. Iza jest najpiękniejszą z kobiet zapełniających salony, piękniejszą nawet niż jemu wydawała się dotąd, a toaleta jéj może zadowolnić wszelkie wymagania najwykwintniejszego gustu. Tak, lord Dynely może być dumnym ze swego wyboru.

Przysunął się do niéj szybko, podał jéj rękę, pochylił ku niéj głowę, szepnął kilka słówek i wyraz szczęścia rozpromienił twarzyczkę Izy. Teraz już się niczego nie obawia, czuje że nie lękałaby się nawet gdyby oczy wszystkich mieszkańców Anglii były na nią jednocześnie zwrócone, wszakże Eryk, jéj pan samowładny, raczył jéj oznajmić swoje zadowolenie.

Panna Forrester zaraz po wejściu do salonu odmówiła wszystkiem proszącym ją do pierwszego walca, pod pozorem że już przyrzekła go komu innemu. Postanowiła nie tańczyć wcale przed kolacyą, i dla dopięcia tego celu musiała wezwać pomocy Terrego.

„Nie zapominaj o tem, Terry, rzekła zbliżając się do niego, że jestem przez ciebie zamówiona do pierwszego walca, którego jednak, tańczyć niebędziemy; czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem doskonale, odpowiedział poważnie Terry. Oczekujemy na kogoś, chcemy aby nam nic nie przeszkadzało wyjść na jego spotkanie, i ukazać mu się w całéj świeżości balowéj toalety. Co do twéj toalety, panno Forrester, trzeba przyznać że jest zachwycająca; ten niepewny srebrzysto błękitny kolor, przypominający światło księżyca, doskonale przypada do twojéj płci. Widać także że miłość korzystnie oddziaływa na ciebie, bo nigdy jeszcze nie byłaś tak piękną jak dzisiejszego wieczora; daję ci słowo że nikt tu nie może porównać się z tobą.

— Panie, rzekła z ukłonem, wzbijasz mnie w pychę. Jest to pierwszy komplement który usłyszałam od Terrego Dennison'a. Ale nie widziałeś jeszcze wszystkich, nie widziałeś Izy Higgins, spojrzyj w tę stronę.

Terry spojrzał. Prędzéj czy późniéj będzie musiał ją zobaczyć, był więc przygotowanym na to spotkanie. Twarz jego pobladła gdy ją ujrzał wspartą na ramieniu Eryka, piękną jak marzenie, szczęśliwą, jak rzadko zdarza się być na tym świecie. Pokręcił wąsy i odezwał się z wymuszonym śmiechem.

— Szczęście upiększa prędzéj i pewniéj niż wszelkie kosmetyki. Śliczna z nich będzie para; zdają się być dla siebie stworzeni. Czy nie złożymy im naszego uszanowania.

— I owszem, idź do nich, widzę nawet że lady Dynely przywołuje cię skinieniem przywitaj Izę, a potem zapytaj się czego mylady potrzebuje od ciebie

Terry odszedł. Iza zwróciła na niego spojrzenie nieśmiałe, jakby prosząc o przebaczenie, i to spojrzenie przeniknęło do głębi serca Terrego. O! nie, ona nie zasługuje na wyrzuty; Eryk jest pięknym jak półbożek, jakże więc on musi wydawać się przy nim brzydkim i niezgrabnym! Postąpiła tak, jak na dwanaście dziewcząt postąpiłoby jedenaście; mało jest takich któreby umiały, jak Fanny Forrester, patrzyć na Eryka rozumnemi oczyma. Powitał Izę w sposób dość serdeczny i braterski, i prosił aby z nim tańczyła walca. Turkusowe oczy spojrzały nieśmiało na Eryka, jakby prosząc o pozwolenie, bo właśnie przed chwilą objawił jéj swą najwyższą wolę, aby z nikim prócz niego nie tańczyła walca.

„Nie życzę sobie bynajmniéj patrzeć na swoją narzeczoną kręcącą się w koło z pierwszym lepszym któremu się podoba zaprosić ją do tańca. Pamiętaj o tem, Izo, że wszelkie podobne tańce ze mną tylko możesz tańczyć!

Przystała na to chętnie. Choć by jej kazał siedzieć do samego rana w kąciku i nie tańczyć wcale, i na to zgodziłaby się z radością, byle tylko raczył uśmiechnąć się do niéj czasami. Ale wszakże Terrego można uważać prawie za brata; może Eryk zrobi dla niego wyjątek? Nie, Eryk zmarszczył trochę brwi, nie myśli zrobić dla Terrego najmniejszego ustępstwa.

„Iza ze mną tylko będzie tańczyć walca, ale możesz napisać swoje nazwisko przy którym kontredansie, tylko śpiesz się, bo już zaczynają grać walca.

Terry zgodził się na to, i umieścił swe nazwisko przy drugim kontredansie. Następnie udał się do lady Dynely która dała mu polecenie aby wyszukał tancerzy dla panien starych, brzydkich i zgoła wszystkich które inaczéj nie tańczyłyby wcale.

„Jest to obowiązkiem Eryka, rzekła, ale wiem że go nie spełni. Jeżeli będzie tańczyć, to tylko z najmłodszemi i najładniejszemi; dla tego też muszę odwołać się do ciebie, Terry.

— Mój drogi Terry, rzekła śmiejąc się, przechodząca właśnie koło niego Fanny, niektórzy ludzie rodzą się już męczennikami, i wszystko mi się zdaje że ty należysz do ich liczby.

Dennison naciągnął lepiéj rękawiczki, i z westchnieniem obejrzał się w koło. Stare czy młode, piękne czy brzydkie, to wszystko jedno dla niego; skoro utracił Izę, nic go już nie obchodzi. Zupełnie mu to obojętnie czy będzie tańczył ze starą panną, podżyłą matroną, lub najpierwszą pięknością w świecie.

„Oto rzekł w myśli, siedzi tam Belinda Higgins, ją najprzód poproszę do tańca, a następnie będę już brał kolejno jednę po drugiéj, nie przebierając wcale.

Zbliżył się do przedostatniéj panny Higgins, i zapytał z największą grzecznością czy nie zechce tańczyć z nim walca. Iza i Eryk walcujący z sobą, przesunęli się koło nich właśnie w téj chwili i Eryk szepnął do ucha swéj tancerki kilka słów, po których spojrzała na siostrę i Terrego a jednocześnie roześmiała się głośno.

Była to nie szlachetna złośliwość, ale Terry i to zniósł cierpliwie.

„Niech się śmieją, pomyślał.

Wiedział że sprawi tem przyjemność lady Dynely; i uszczęśliwi Belindę Higgins; to mu wystarczało.

Panna Forrester nie tańczy wcale. Zostaje pod wpływem gorączkowéj niecierpliwości. Co chwila zwraca na drzwi niespokojne spojrzenie; powinienby przyjechać już od godziny. Pociąg przychodzi o ósméj; a teraz już dziesiąta. Czy już nie przyjedzie? Czy się zdarzył jaki wypadek? Telegrafował rano że przyjedzie pociągiem przychodzącym o ósméj; dla czegóż nie ma go jeszcze?

Odmówiła księciu Venturini który ją prosił do tańca, wysunęła się z salonu, zarzuciła na siebie długie aksamitne okrycie i wyszła do ogrodu.

Silny wiatr jesienny wstrząsa drzewami, rysującemi się wybitnie przy blasku księżyca, którego białawe światło uwydatnia wszystkie bliższe przedmioty i połyskuje w morzu ukazującem się w dali. Zeszła ze schodków i udała się na taras. Marmurowe wazony połyskiwały jakby ulane ze srebra; posąg Ajaxa wznosi do nieba oczy i zdaje się wzywać gromy. Głuchy i majestatyczny huk morza dochodzi do uszu Fanny, pomimo szumu wiatru i dźwięków muzyki grającéj walca.

Stare Opactwo lśni się całe od rzęsistego światła; w oknach przesuwają się ciągle cienie, jakby widoki w czarnoksiężkiéj latarni, a ona stoi tam sama rozmyślając nad tem czemu nie przybył jeszcze, i zastanawiając się jak strasznie samotnem byłoby jéj życie, gdyby nie mogła go przepędzić obok niego.

Nagle pomimo świstu wiatru i szumu drzew, usłyszała odgłos który przyśpieszył bicie jéj serca i ożywił oczy radością; był to turkot zbliżającego się powozu.

Pochyliła się naprzód aby widzieć lepiéj. Tak, tak, to wysoka postać Gordona rysuje się w głębi powozu, i zbliża się do niéj. Dostrzegł na tarasie samotną postać, ogniste oczy i smagłą twarz oświeconą blaskiem księżyca. W parę minut późniéj był już przy niéj, i Fanny czuła że dla niéj nadeszła godzina szczęścia.

„Jakto! czekałaś tu na mnie? zawołał, nie pomnąc że mogłabyś się nabawić śmiertelnéj choroby. Wejdźmy co prędzéj do domu. Czy dawno tu stoisz?

— Nie bardzo... może dziesięć minut. Byłam bardzo niespokojna; spóźniłeś się o dwie godziny.

(d. c. n)

Opis do N-ru 29.

(Dokończenie).

N. 45—50. Ozdoby dżetowe do żałoby.

Rycina 45 przedstawia gałązkę z trzech kwiatów dżetowych, do ubrania głowy, ryc. 46 broszkę z trzech rzędów nie dużych szlifowanych kamyków, połączonych jedne z drugiemi, zaś rycina 47 przedstawia bransoletkę złożoną z wązkich tafelek dżetowych, nawleczonych na tasiemkę elastyczną. Na ryc. 48 i 49 widziemy szpilki do włosów, a na ryc. 50 ładną broszkę dżetową.

N. 51—52 oraz ryc. 30 w N. 30. **Ubranie** żałobne ze stanikiem z baskiną i długą kamizelką. Model kroju tuniki na ryc. 24.

Ryc. 51 — 52 przedstawia ubranie żałobne odrobione z czarnego kaszmiru, angielskiej krepy i faille. Ten świeży i zręczny fason służyć może do każdej sukni wełnianej, grenadynowej lub kretonowej, przybranej (stosownie do użytego materyału) materyą jedwabną, lub kretonem w deseń milles-fleurs. Z pod przodów stanika wygląda 11 cent. dłuższa kamizelka z faille; baskina z tyłu przy szwie bocznym jest do wcięcia w pasie rozpruta, a do tego otworu przyczepia się guziczkami, (w sposób na ryc. 51 wskazany) tylny bryt draperyi. Przy środkowych częściach pleców trzeba do baskiny dodać w krajaniu materyału na fałdy. Przedni bryt spódnicy od dołu ułożony jest w skośne fałdy; garnirunek dolny stanowi 12 cent szerokie plisowanie z kaszmiru i równie szeroka marszczona falbanka z faille. Draperya której model i miary podaliśmy na rycinie 24 w N-rze 29, składa się z dwóch brytów; bryt przedni (a) oszyty u dołu i z przodu plisą krepową 8 cent. szeroką, z przedniego brzegu podpina się w dwa pukle 8 cent. głębokie i przyczepia na spódnicy w ten sposób iż skośne fałdy u dołu są odsłonięte. Drugi zaś brzeg mocno sfałdowany złączony jest z brytem tylnym 72 centym. szerokim, pasem gładkim z faille, 11 centym. szerokim, niby na guziki zapiętym. Bryt tylny od góry w dwa pukle podpięty, od dołu jest pod pasem materyi przyszyty, a z drugiego boku w górze na guziki zapięty, od dołu do spódnicy przyszyty. Bryt ten jest w górę w pasek od spódnicy wszyty, a w trzeciej części długości poprzecznie przefałdowany i w bufę podpięty.

N. 53. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5.

Biała batystowa z tyłu zapinana sukienka formą princesse ozdobiona jest riuszami 3 cent. i falbankami haftowanemi 6 cent. szerokiemi. Szarfa batystowa związana z tyłu na kokardę.

N. 54 i rycina 25 w N. 30. **Suknia** ze stanikiem bluzkowym i tuniką.

Spódnica czarnej kaszmirowej sukni ogarnirowana jest 16 cent. szeroką, w kontrafałdy ułożoną falbaną przestębnowaną przez środek a u dołu oszytą plisowaniem 3 cent. szerokiem. Na ryc. 25 w N. 30, dajemy model tuniki z oznaczeniem fałd i miarami długości i szerokości. Stanik bluzkowy z zaszytemi w piersiach zakładkami, opasany paskiem 4 cent. szerokim, zapiętym z boku pod kokardą.

Opis do N-ru 30.

N. 1—2. Desenie do ryc. 27 w N. 29.

N. 7. Wyszycie tła na poduszki, krzesła, serwety, portjery.

Plusz, aksamit, reps wełniany, atłas i t. p. stanowi tło do wyszycia krzyżowego; dla ułatwienia roboty tło wszywa się w krosienka, z wierzchu zaś kładzie się kanwę, którą trzeba następnie wysiepać. Można tu również zastosować aplikacyę z dawnych wyszyć; w takim razie trzeba haft dawny lub świeżo wykończony pociągnąć z lewej strony gumą i podkleić bibułką, następnie gdy już zupełnie wyschnie wycina go się uważnie podług konturów. Brzegi aplikacyi otoczone są złotym sznureczkiem, którego przyszycie przytwierdza zarazem i aplikacyę. Model przedstawiony na ryc 6 był wyszyty dużemi krzyżykami filozelą w trzech cieniach mchowo zielonych, tło stanowi plusz ciemno ponsowy.

N. 8. Wyszycie tła na kanwie z aplikacyą z materyału.

Polecamy czytelniczkom naszym tę ładną i zajmującą robotę, która zaczyna się od narysowania na papierze figury mającej służyć do aplikacyi i podklejenia tego papieru pod materyał z którego dajemy aplikacyę np. sukno, aksamit lub atłas. Następnie wycina się deseń podług konturów, nakleja na grubej, niedzielonej w kratkę kanwie, której próbkę wskazuje rycina 8 i przyszywa sznureczkiem złotym lub srebrnym albo kolorową filozelą. Na każdej części deseniu dane jest wyszycie i przyozdobienie rozmaitego rodzaju ściegami, jak to wskazuje rycina 8; przy czem trzeba bardzo starannie dobierać kolory, aby całość była harmonijną. Tło wyszyte jest ściegiem gobelinowym odznaczającem się w kwadraciki, ale można je także zarobić zwykłemi krzyżykami.

N. 9. Uczesanie i krawatka z malowaniem.

Uczesanie to odpowiednie dla młodej panienki, wymaga grubych ale niezbyt długich włosów. Potrzeba najpierw rozdzielić włosy z tyłu głowy poprzecznie i część niższą związać o ile można wysoko, następnie niezwiązane włosy znowu rozdzielić poprzecznie, zrobić z nich dwa pukle dane jeden pod drugim na wierzchu głowy a z włosów związanych ułożyć podłużny węzeł spadający na szyję. Kolorowa wstążka przewłóczy się środkiem pukli i wiąże z boku na kokardę z końcami.

Krawatka z białej krepy 130 cent. długa a 16 szeroka, z podłużnych brzegów oszyta gładką 2 cent. szeroką a z poprzecznych plisowaną koronką bretońską 5 cent. szeroką. Przyozdobienie stanowi deseń wymalowany na końcach, blademi kolorami, dopełniony gdzieniegdzie ściegiem płaskim.

N. 10 i 23. Uczesanie i chusteczka tiulowa z wywodzeniem.

Upięcie włosów ułożone z kilku pukli tworzących węzeł wskazuje dokładnie ryc. 10. Chusteczka związana zamiast krawatki, lub spięta kwiatkiem jest z czarnego jedwabnego tiulu, w formie trójkąta z zaokrąglonym tylnym rogiem i liczy przy przednim brzegu 125 cent. długości a 45 szerokości przez sam środek. Wywodzenie stanowiące szlaki, odrabia się filozelą w jednym lub kilku kolorach podług ryc. 23.

N. 11. Sukieneczka princesse skośnie zapięta.

Zakończona jest u dołu plisowaniem 18 cent. szerokiem, danem na muślinie, nad którem idą rzędy plisek, z których najwyższa ma wypustkę ze szlaczkiem. Brzegiem przodu zapiętego skośnie dane odpowiednie lecz znacznie węższe przybranie. Model był z beżu w deseń milles-fleurs z pliskami i kokardami z błękitnego atłasu; guziczki okrągłe srebrne.

N. 12. Ubranie dla chłopca lat 6—8.

Składa się z kurtki, spodniego stanika i majtek; odszyte z jasnego letniego sukienka i ozdobione naszyciem z wełnianego sutaszu; guziczki płaskie kamienne.

N. 13—14. Sukienka princesse z draperyą, dla panienki lat 11—13.

Przody i boki wycięte są u dołu w zęby 7 cent. długie i 7 cent. szerokie, podszyte plisowaniem 16 cent. szerokiem, przy plecach zaś przeciętych na 19 centym. dana część spódniczkowa 35 cent. długa, składana w fałdy 4 cent. szerokie. Na draperyę przerzuconą podług ryc. 13 do 14 potrzeba skośnego kawałka materyału 38 centym. szerokiego, środkiem z przodu przemarszczonego kilka razy do 24 cent. szerokości, z jednego boku zebranego w fałdy do 16, z drugiego do 10 cent. Ranwers dany wzdłuż przodów liczy u góry 7, w pasie 4, u dołu znów 7 cent. szerokości. Takie odrobienie sukienki stosowniejsze jest do lekkich wełnianych materyałów np. beżu, bareżu, muślinu indyjskiego niż do materyałów do prania. Model ryc. 13 był z piaskowego beżu z frendzlą i wypustkami jedwabnemi; sukienka przedstawiona na rycinie 14 była z materyału w deseń milles-fleus, z wypustką kolorową i koronką.



N. 1. Ubranie z długą baskiną i kamizelką dla niedorosłej panienki. Zobaczyć ryciny 16 i 21 w N-rze 32. Krój stanika i tuniki Nr XIII, Fig. 53—54. Kamizelka jak do ryc. 15—16 w N-rze 11.

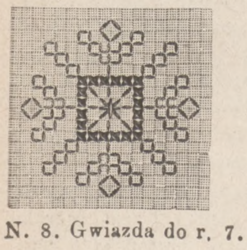
N. 2. Ubranie z mantylą. Krój mantyli na arkuszu z formami Nr I, Fig. 1—3.

N. 16. Ubranie dla małego dziecka.

Sukieneczka z białego batystu, ozdobiona szerokim haftem, wykonanym wprost na materyale. Szarfa różowa edwabna.

j

N. 17 i 18. Suknia ze stanikiem z baskiną i kamizelką.

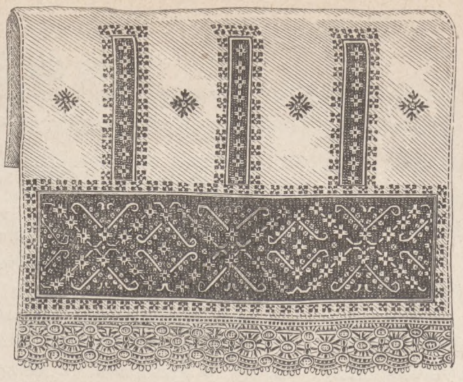


N. 8. Gwiazda do r. 7.

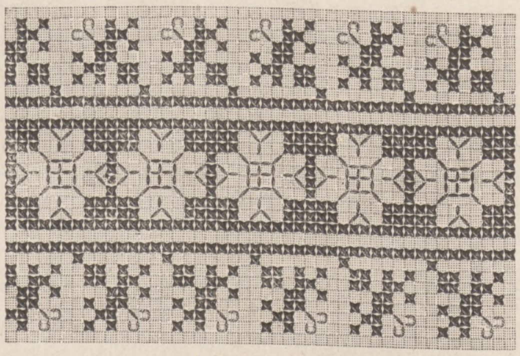
Odrobiona z gładkiego i deseniowego materyału ma przód i boki naszyte falbankami plisowanemi po 6 cent. szerokiemi, z koronką 2 i pół cent. szeroką, zajmującemi wzdłuż 42 centym. Górną część sukni przysłaniają dwa bryty tunikowe z materyału deseniowego, po 63 cent. długie a 46 szerokie, u góry zaszyte kawałkami, dla gładkiego leżenia wszyte w pasek wraz z suknią i przyczepione na spódnicy wzdłuż tylnych brzegów. Tylny bryt przykryty trzema po 47 cent. szerokiemi falbankami, zakończonemi koronką i plisą 8 cent. szeroką. Przody stanika mającego baskinę fałdowaną z tyłu, są spięte tylko na dwa guziki pod kokardą dalej zaś rozchodzą się szeroko i odsłaniają kamizelkę z deseniowego materyału, także tylko do wcięcia stanu zapiętą, jak to widać na ryc. 18. Od szwów bocznych przez przody dany szeroki pasek. Pod szyją długi pasek z koronki.



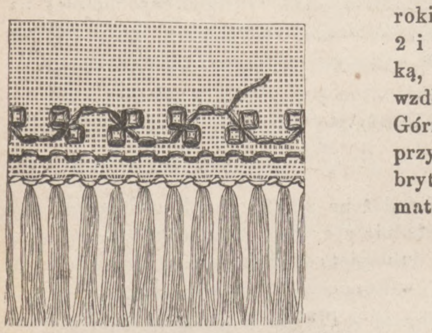
N. 3. Przykrycie na poręcz do mebli. Ścieg na dwie strony próbki deseni Nr 4—6.



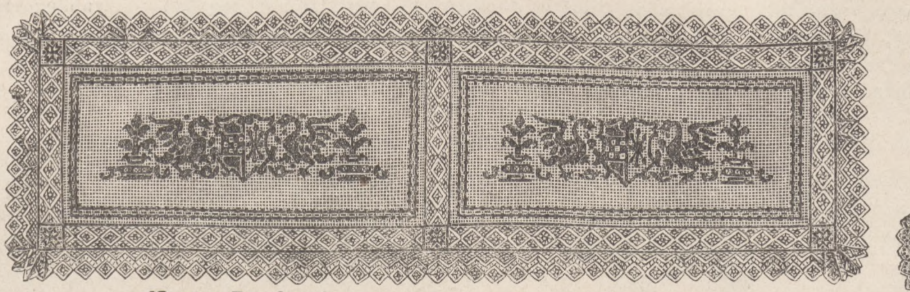
N. 7. Przykrycie na poręcz do mebli. Robota krzyżowa i ściegiem na dwie strony. Patrz r. 8—11.



N. 10. Szlak podłużny do ryc. 7.



N. 5. Frendzla i wązki szlaczek do ryc. 3.



N. 12. Przykzycia na poręcz do sofy. Haft krzyżykowy.

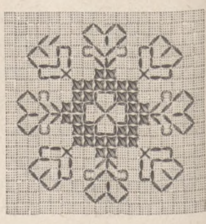


N. 13. Wycięta batystowa sukienka dla małej dziewczynki. Krój stanika podług formy do r. 1 w N. 82.

N. 19. Ubranie dla panienki lat 10—12.

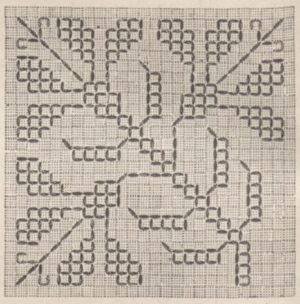
Odszyta z ciemnego i jasnego eksfordu składa się ze spódnicy, długiej tuniki, kamizelki i stanika z baskiną, wyciętego kwadratowo pod szyją, dopełnionego szerokim kołnierzem i zapiętego na guziki z konchy. Prosta, lekko z tyłu podpięta tunika ozdobiona kokardami i plisą z wypustką. Spódnica zakończona szerokiem plisowaniem.

N. 20 i 28. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką podpiętą à panier.



N. 9. Gwiazdka do r. 7.

Rycina 20 przedstawia z przodu suknię z niebieskiego batystu, zdobną jedwabnemi plisami i koronką bretońską, zaś na ryc. 28 widzimy z tułu suknię czarną grenadynową, z plisami i atłasowemi i czarną koronką.

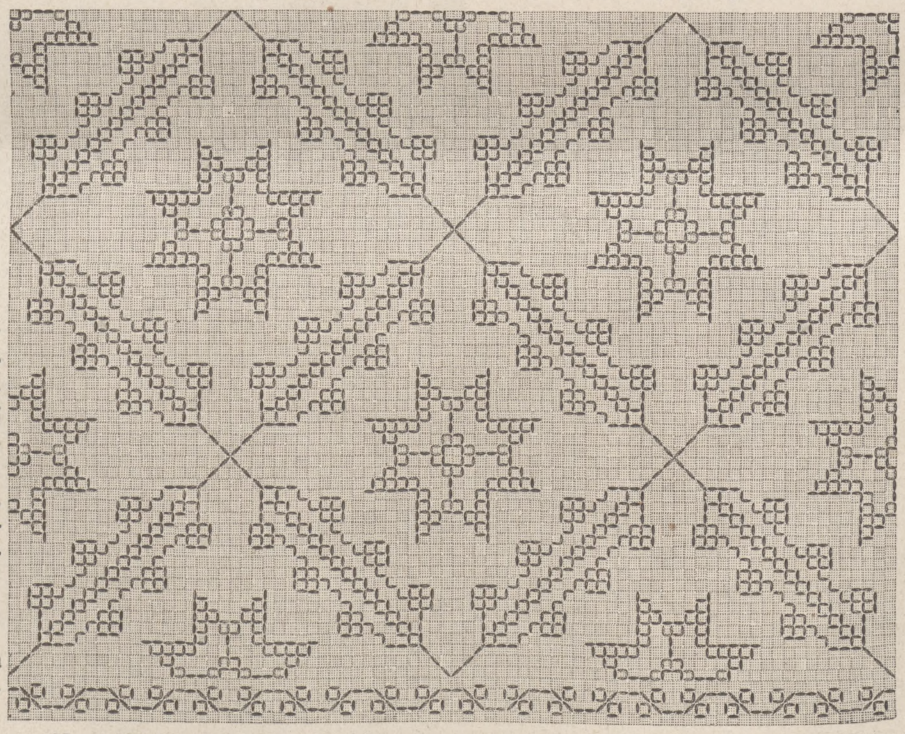


N. 6. Deseń gałązek nad szlakiem do r. 3.

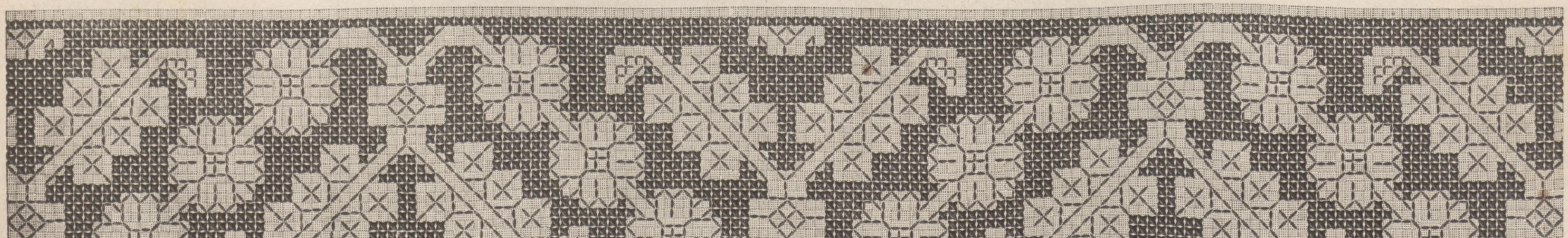
Stanik z tyłu ma baskinę frakową, rozciętą w środku i ozdobioną wykładami atłasowemi, wzdłuż zaś przodów ma przybranie w nowym guście, złożone ze skosu 15 c. szerokiego, objętego z brzegów wypustką, oszytego koronką i przemarszczonego w równych odstępach podług ryciny 20. Spódnicę zakończa u dołu plisowanie 10 cent. szerokie; przód i pierwsze kliny naszyte są falbankami po 6 c. szerokiemi. Na tylnych klinach z każdego boku dane po trzy patki, ścięte w ząb u góry po 42 centym. długie a 8 szerokie, oszyte szeroką wypustką. Krótkie przednie części tuniki podpinają się à panier podług ryciny 20 i 28; na tylne upięcie potrzeba bryta prostego, w środku sfałdowanego poprzecznie (83 cent. szerokiego a 123 długiego) którego górna połowa z boków ściśle sfałdowana łączy się z częściami przedniemi i przytwierdza na sukni, dolna zaś oszyta plisą i koronką, puszczona jest wolno.



N. 14. Sukienka batystowa formą princesse dla małej dziewczynki.



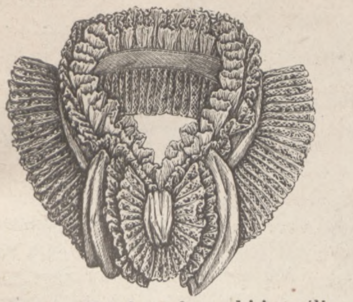
N. 4. Część szlaku do ryc. 3 wyszytego ściegiem jednakowym na dwie strony.



N. 11. Szlak poprzeczny do ryc. 7.

N. 26—27. Sukieneczki dla dziewczynek lat 3—5.

Krój sukienek znaleźć można na poprzednich arkuszach z krojami; skromne przyozdobienie stanowią wązkie pliski lub szlaczki wyszyte krzyżykami, na które desenie podajemy w każdym N-rze Tygodnika. Sukieneczka rycina 26 ma spódniczkę plisowaną i paletocik z kamizelką, zaś sukienka rycina 27 ma długi prosty stanik, dopełniony spódniczką gładką z przodu a splisowaną z tyłu której przyszycie przykrywa luźny pasek.



N. 16. Fryzka z koronki i muślinu. Mankiet patrz ryc. 17.



N. 15. Serwetka koronkowa. Deseń na arkuszu z formami Fig. 20.



N. 17. Mankiet do fryzki r. 16.

N. 31—34. Buciki modne i pantofelki.

N. 31. Trzewiczek do strojnego ubrania haftowany złotem.

N. 32. Pantofelek z kokardą filigranową.

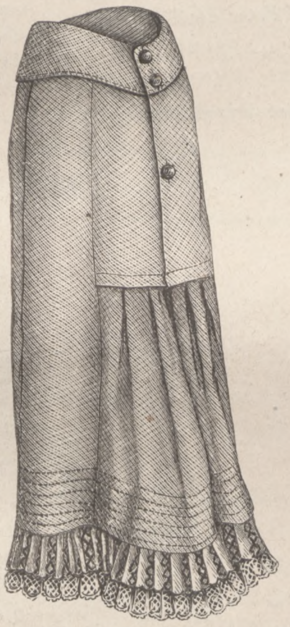
Uszyty z materyi w kratkę białą z czarnem, odpowiedni do rannego ubrania ma podszewkę z niebieskiej materyi, lekko podwatowaną i przepikowaną w kwadraciki. Kokarda złota filigranowa z aksamitnym węzłem.

N. 33. Trzewik z kokardą.

Odpowiedni do wizytowego ubrania ma przód ze skórki świecącej bronzowej, a tylną połowę z jedwabnego piaskowego repsu. Kokarda z bronzowej repsowej wstążki 8 centym. szerokiej, ozdobiona wyszyciem krzyżykowem z piaskowego jedwabiu i przepięta klamrą.

N. 34. Pantofelek z haftem pluszowym.

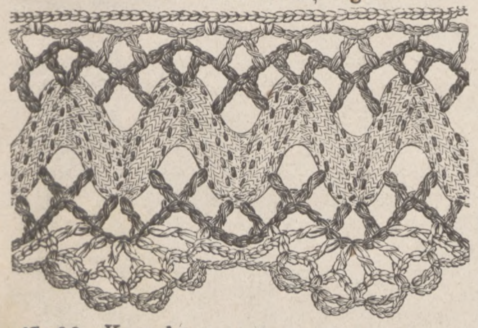
Jest z granatowego aksamitu na białej jedwabnej podszewce; górny brzeg pantofelka zdobi girlanda z kwiatów z haftu pluszowego.



N. 19. Biała spódnica z paskiem zaokrąglonym. Krój Nr XVII, Fig. 58.



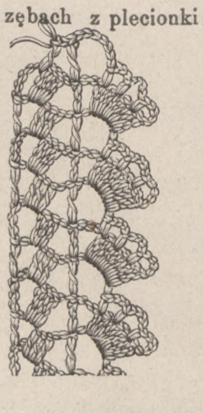
N. 21. Ubranie ze stanikiem z bawetem i upięciem à panier. Patrz r. 20 i 52 w N. 32. Krój N. VIII F. 22—30.



N. 22. Koronka szydełkowa robiona dwoma kolorami bawełny przy zębach z plecionki kolorowo przerabianej do sukni r. 30 w N. 32.

N. 35. Bucik spacerowy.

Bucik z popielatej materyi serge na niebieskiej atłasowej podszewce, zapięty z boku na guziczkach, ozdobiony haftem płaskim białym jadwabiem.



N. 24. Koronka szydełkowa robiona poprzecznie.



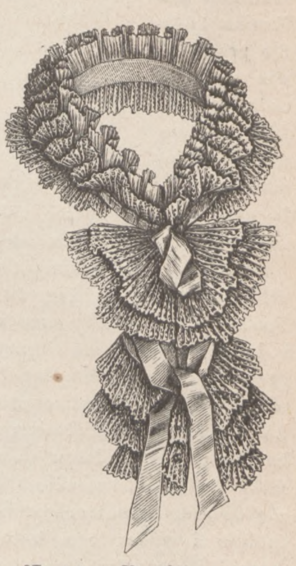
N. 26. Parawan przed kominek. Haft złoty i krzyżykowy.

N. 36. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

Uszyta z granatowego płótna i ozdobiona szlakami w deseń kolorowy, 6 centym. szerokiemi; stanik gładki z przodu, ma z tyłu na baskinie dodane klapki, oszyte wypustką i przytwierdzone guziczkami. Tunika odrobiona podług rycin 30—31 w N-rze 26.

N. 37. Suknia z długą tuniką.

Odrobiona z gładkiego beżu, ozdobiona materyałem w paski, danym przy tunice poprzecznie, przy staniku podłużnie. Spódnica przybrana 19 cent. szerokim pasem, przecinanym w odstępach 15 cent. (w przecięcia te wszywa się kawałki plisowane 7 centym. długie, 6 szerokie) u dołu podszytym plisowaniem 4 cent. szerokiem. Po nad tem przybraniem dana plisa w paski, 11 cent. szeroka. Tunika odrobiona podług ryc. 42 w N. 26; stanik wykończony podług ryc. 37.



N. 18. Fryzka z żabotem.

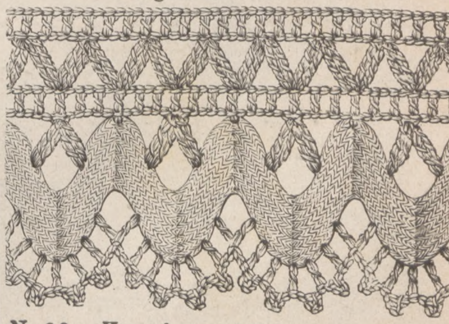
Opis do N-ru 31.

N. 1. Ubranie ze stanikiem z długą baskiną i kamizelką, dla niedorosłej panienki. Zobaczyć ryc. 16 i 21 w N. 32. Krój stanika i baskiny na dodatku z formami Nr XIII Fig. 53 — 54.

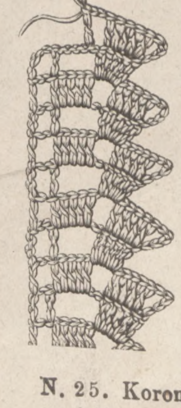
Bardzo długa baskina stanika tylko na dwa guziki zapiętego, przy przodach i boczkach dopełniona jest oddzielnemi prostemi częściami, wskazanemi na Fig. 53; fason ten ma tę zaletę że nadaje się do zmienienia i odnowienia stanika z krótką baskiną. Fig. 53 przedstawia zmniejszony rysunek połowy stanika, który można dopasować podług formy do ryc. 52 w N-rze 32, Fig. 22 — 29; punkciki oznaczają wzmiankowaną formę a proste linje zmiany potrzebne, do przyszycia oddzielnej baskiny. Przy przerabianiu starego stanika ple-cy z krótszą bask-



N. 20. Spódnica kolorowa z długim pasem. Krój Nr XVI Fig. 57.

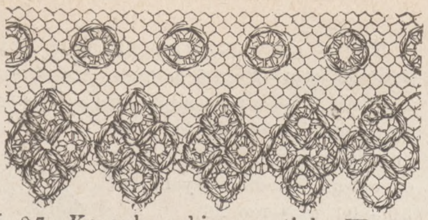


N. 23. Koronka szydełkowa przy zębach z plecionki do ryc. 30—31 w N. 32.

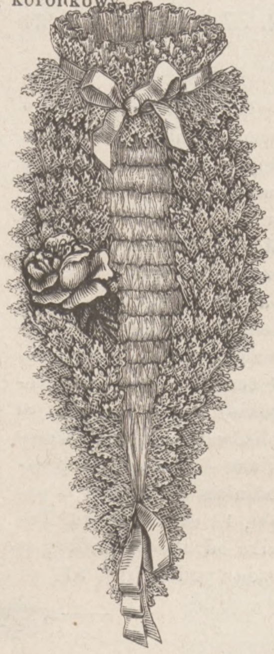


N. 25. Koronka szydełkowa robiona poprzecznie.

ną łatwo można na wcięciu stanu nieznacznie zesztukować. Rycina 16 w 32 przedstawia z tyłu taką samą suknię, która na modelu ozdobiona była przy staniku i tunice, tylko paru prostemi linjami stębnówek. Model i miary tuniki podajemy na Fig. 54. Spódniczka wązka z przodu i boków gładko do figury przystająca, od dołu dopełniona jest częścią plisowaną 38 cent. szeroką złożoną z brytów prostych ułożonych w fałdy 6 centym. szerokie a 4 głębokie do dołu trochę rozsunięte i podszyte z lewej strony dwoma rzędami tasiemki, tak ażeby od dołu tylko 12 cent. plisowania było luźno puszczone. Na ryc. 21 w N. 32 podobny kostjum odrobiony jest ze zwykłym stanikiem z baskiną, tunika cała w równe poprzeczne fałdy ułożona, a garnirunek stanowią ciemniejsze plisy i koronka. Kamizelkę robi się oddzielnie podług formy do ryciny 15 i 16 w N. 11 Tygodnika, można mieć ich kilka i zmieniać dowolnie, dla urozmaicenia ubrania.



N. 27. Koronka robiona na tiulu. Wywodzenie i ścieg koronkowy.



N. 30. Chusteczka bawetowa z koronki i tiulu.



N. 32. Suknia z upięciem tunikowem.

N. 2. Ubranie z mantylą na arkuszu z formami. Krój mantyli N. I Fig. 1—3

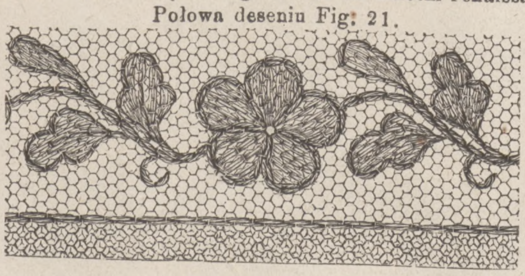
Suknia z fularu indyjskiego gładkiego i w deseń, ozdobiona plisami atłasowemi. Mantyla czarna z gazy jedwabnej w paski aksamitne, oszyta pasmanteryą 6 centym. i frendzlą marabutową 8 i 10 cent. szeroką, przerabianą sznelą i sznureczkami dżetu. Pod długim kołnierzem szalowym zrobionym z atłasu a przykrytym pasmanteryą, mantyla zapina się na haftki i wiąże kokardą ze wstążki 5 cent. szerokiej. Kapelusz biały słomkowy ubrany różami karmazynowemi bez liści i woalką z tiulu zwanego „tulle d'esprit."



N. 34. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.

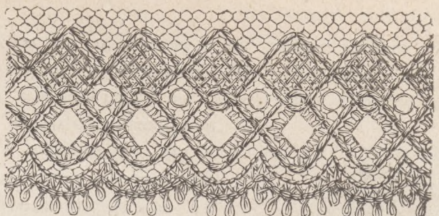


N. 33. Poduszka pod nogi ozdobiona haftem renaissance. Połowa deseniu Fig. 21.



N. 29. Wstawka. Cerowanie na tiulu nićmi płaskiemi i cienkiemi.

N. 3—6. Przykrycie na poręczy do foteli lub kanapy, robota na płótnie kanwowym albo kanwie kongresowej, jedwabiem lub bawełną w dwóch cieniach albo w dwóch kolorach, ściegiem pojedynczym na dwie strony. Ryc. 4 daje część deseniu szlaku naturalnej wielkości, rycina 5 frendzlę i wązki szlaczek, a ryc. 6 gałązkę do wyszycia nad szlakiem.



N. 28. Koronka robiona na tiulu. Wywodzenie i ścieg koronkowy.



N. 31. Chusteczka bawetowa z aksamitu i koronki. Patrz deseń ryciny 24 i 25.

N. 7—11. Przykrycie na poręcze do mebli robota na płótnie ściegiem krzyżowym i pojedynczym na dwie strony. Ten rodzaj haftu odrabia się zwykle jednym kolorem jedwabiu, np. czarnym lub ponsowym na tle białem; całe tło szlaku zarabia się krzyżykami (jak to wskazuje rycina 7, a deseń ściegiem pojedynczym na dwie strony. Brzegi poprzeczne oszyć koronką nicianą albo siatkę gipiurową.

N. 12. Przykrycie na prosią, długą poręcz do sofy. Robota krzyżowa na kanwie kongresowej, oraz wstawki i oszycie z koronki nicianej.

Długość i szerokość przykrycia i ilość kwadratów zastosować do długości poręczy. Na modelu haft krzyżowy przedstawiał herby rodzinne, które jednak zastąpić można innym deseniem.

(*Dok. nast*).



N. 35. Suknia biała muślinowa. Patrz ryc. 8—9 i 19 w N. 32. Krój spódnicy Nr XIV, Fig. 55.